

**Kamiński Gustaw**

## **OGON KRÓLEWSKIEGO KONIA**

*powieść*

I.

Na placu katedralnym w Medjolanie, naprzeciwko tego  
wiekopomnego arcydzieła  
architektury stoi olbrzymi pomnik Wiktora Emanuela II. Twórca  
pomnika, znakomity  
E. Rosa umieścił króla na bardzo wysokim piedestale, na wspaniałym  
rumaku z  
potężnym, rozwianym, ogonem.  
Z boku pomnika stało dwóch mężczyzn, zbliżających się do  
czterdziestki. Obaj  
inżynierowie koledzy, spotkali się rano w przedsionku Metropole.  
Jeden Stanisław  
Grot — Grotowski, wracający z Rzymu, drugi Jan Rajczak, jadący do  
Turynu.  
Przypadkowe spotkanie wielce ich ucieszyło, wyszli razem na miasto,  
które Jan  
miał opuścić około trzeciej po południu. Zatrzymali się i w milczeniu  
przyglądali imponującemu pomnikowi. Naraz Stanisław usłyszał  
polską mowę  
dziecka i spostrzegł, prawie obok, wielkiej urody młodą damę z  
chłopczykiem może  
siedmioletnim.  
Natychmiast wyrzekł głośno:  
— *Giovani! O, che grando ogono de cavallol*

Malec usłyszawszy ten wykrzyknik, zwrócił się do damy:

— Mamusiu! Po włosku ogon nazywa się ogono!

W tej chwili Stanisław zbliżył się, uchylił kapelusza i wyciągnął rękę do

chłopczyka, mówiąc:

— Bongiorno signiore piccolo Polaco! Come sta? Wszystko to było nagle pomyslanym

manewrem, celem poznania pięknej damy. Chłopczyna się zawstydził i nie wiedział

co robić. Dama widząc wytwornego gentelmana przemówiła:

— Podaj Zbyszku panu rączkę, — zwróciła się do Stanisława po fracusku: — proszę

wybaczyć, my nie mówimy po włosku.

Zbyszko podał rączkę Stanisławowi, ten zdjął kapelusz mówiąc;

— My jesteśmy Polacy, słysząc polską mowę naumyślnie powiedziałem "ogono" będąc

pewnym, że Zbyszka zainteresuję, i to mi się udało.

Przedstawił się, jak również i kolegę.

Jan zdjął kapelusz, dama uprzejmie schyliła głowę, ale swego nazwiska nie

powiedziała.

Stanisław zaczął rozmowę o pomniku, Zbyszka zapytał, czy się nie boi konika i

czy je lubi.

— Ja w lecie jeździłem na osiołku i nic nie bałem się, odpowiedział śmiało

malec.

Jan i Stanisław jako dobrze wychowani ludzie, bardzo oględnie ale umiejętnie

prowadzili

rozmowę, zwłaszcza, że dama była poważną i powściągliwą. Zdołali jednak

dowiedzieć się, że przepędzając jesień nad Lemanem wyjechała z drugą damą na

wycieczkę: zwiedziły Lago Maggiore i wyspy Boremeusza, a korzystając z bliskości zajęły do Medjolanu, gdzie bawią od onegdaj. Katedrę zwiedziły szczegółowo i są wielce zadowolone.

— A czy panie widziały... przepraszam, mówię w liczbie mnogiej, chociaż

towarzyszka jest nieobecna...

— Właśnie nadeszła — odezwał się głos z tyłu i zbliżyła się również młoda,

elegancka dama.

Brunetka, ciemniejsza od towarzyszki, o wyrazistych czarnych oczach i pięknej

cerze. Ostry, zgrabny nosek i umiejętnie, a umiarkowane podbarwienie brwi, oczu i

warg, wytwarzały ponętą całość. Nastąpiło przedstawienie panów, a Zbyszko

paplał:

— Proszę pani, ten pan — wskazał palcem Stanisława — powiedział, że ogon konia —

znów wskazał na pomnik — nazywa się po włosku „ogono”!

— Zbyszku, tyle razy ci już mówiłam, że nie można wskazywać paluszkiem, to nie

ładnie i nie grzecznie — strofowała matka.

— A czym mam pokazywać proszę mamusi? Zapytanie to rozśmieszyło wszystkich i roz-

weseliło; było do pewnego stopnia przełamaniem lodów...

Stanisław przemówił nieco weselszym tonem:

— Dokończę zaczętego w chwili nadejścia pani zapytania:

— Otóż czy panie widziały już „Wieczerną Pańską” fresk Leonardo da Vinci?

— A prawda, zupełnie zapomniałam, że on tu się znajduje, — odpowiedziała

nowoprzybyła.

— Jeśli panie pozwolą, możemy razem pojechać. Mam specjalny list z Rzymu, żeby

pozwolono go obejrzeć, ponieważ wógóle już nie jest do oglądania.

— A to z powodu?—zapytała matka Zbyszka.

— Jest bardzo uszkodzony, miejscami farba obsypuje się.

— Pani Jadwigo, czy pani chce pojechać? — spytała towarzyszka.

— A czy to daleko?

— Pojedziemy z tego placu tramwajem i za dwadzieścia minut będziemy w S. Marja

della Grazie, gdzie w refektarzu znajduje się fresk.

Panie zgodziły się, wtedy Jan rzekł:

— Siądźcie państwo do czwórki i zajedziecie na samo miejsce.

— Ależ ty, widzę, znasz Medjolan, jak Hrubieszów, gdzieś ujrzał światło dzienne

— rzekł Stanisław.

— Ja panie pożegnam; żałuję mocno, że nie mogę dotrzymać towarzystwa, mam bowiem

załatwić sprawunki, a przed czwartą wyjeżdżam.

Stanisław namawiał kolegę, żeby został do jutra, ale nic nie wskórał.

Pożegnali

się, wsiedli do tramwaju i Jan polecił ich konduktorowi. W drodze Stanisław

przypatrywał się dyskretnie towarzyszkom, obie były bardzo przystojne i

szykowne. Jadwiga miała słodki, nieco smętny wyraz twarzy i miły, melodyjny

głos; druga energiczny, nieco czupurny i wesoły wygląd, ale głos niedźwięczny,

zmatowany— i robiła wrażenie bardzo pewnej siebie...

— Więc panie są na wycieczce, i tak bez towarzysza?

— Bardzo jestem wdzięczna pani Rycie — odpowiedziała Jadwiga, — że była

inicjatorką; zwiedziłyśmy Lago Maggiore, nadbrzeżne miejscowości i wyspy

Boremeusza, precudne, urocze!

— A co do towarzysza — wtrąciła Ryta — to miałyśmy kawalera, Zbyszka, i ten wystarcza.

— O ile poznałem Zbyszka, to on sam potrzebuje opieki, a w wycieczkach zawsze jest potrzebny należyty, odpowiedni opiekun — odparł z uśmiechem Stanisław.

— To też w górach najmuje się przewodników specjalnych, ale tu, na równinach, jeziorach i wysepkach, same ze Zbyszkiem dałyśmy sobie

doskonale radę i nie miałyśmy balastu... przeważnie umizgającego się... —

odpowiedziała Ryta.

— Widzę, że pani jest wrogo usposobiona do dorosłych mężczyzn.

— Bynajmniej, ale uważam, że pan jest trubardurowo średniowiecznym dżentelmenem, dla którego kobieta, to słaby twór i potrzebuje bezustannej rycerskiej opieki,

to dowodzi, że pan jest prawdziwym Polakiem!

— Czy to ma być synonimem zacofańca, wstecznika?

— Ależ dlaczego tak krańcowo?

— Pani Ryta — wtrąciła Jadwiga, — niezmiernie lubi sprzeczać się z panami,

— To pysznie się składa: bo i ja nadzwyczaj lubię sprzeczać się z damami, jeśli

nota-benę odpowiadają trzem warunkom.

— Aż trzem?

— Tylko trzem!

— Wolno zapytać jakim?

— Po pierwsze: muszą być inteligentne, po-wtóre — młode, po trzecie — piękne!

— Czyli, że my możemy być spokojne, że z nami nie będzie żadnych sporów —

powiedziała Ryta.

— Przepraszam, czy pani jest rodowitą Polką?

— Co za pytanie — najrodowitszą!  
— Nigdybym nie przypuszczał!

— Dlaczego?

— Bo pani taka nieszczerą.

— Jak to dobrze, że jutro rano opuszczamy Medjolan, bo widzę, że nietylko

sprzeczałibyśmy się, ale i pogniawali...

— To bardzo przyjemna zabawa.

— Zabawa, dlaczego? — zapytała Jadwiga.

— Bo... bo... potem następują przeprosiny, co bywa nieraz wielce przyjemne.

Konduktor przerwał rozmowę, dając znać, że zaraz należy wysiąść.

Ogłędziny "Wieczerzy", a i wogóle kościoła trwały z godzinę, potem zwiedzano

sławny cmentarz "Cimetiero monumentale", to muzeum

niepospolitych dzieł

współczesnych rzeźbiarzy mediolańskich. Krematorjum panie

obejrzały tylko

zewnątrznie, nie chciały popsuć sobie wrażenia i dobrego nastroju, jak się

wyraziły.

Następnie udano się na obiad. Stanisław poprosił, aby panie zezwoliły przyjąć mu

w nim udział, co zaakceptowano i poszli do Savini w Pasażu Wiktora Emanuela.

Obiad i Chianti, aczkolwiek kwaśne, ożywiło rozmowę. Zbyszko przemówił:

— Mamusiu, ten pan, tu naprzeciwko przy stoliku — synek nie pokazuje paluszkiem,

— je winogrona z bułką i ja tak srobuję!

— Wielu bardzo włochów, a zwłaszcza wło-

szek, urządzają sobie taki deser — mówił Stanisław, — spróbuj Zbyszku!

— I ja spróbuję — rzekła Ryta i zaczęła jeść winogrona z białym chlebem.

Zbyszko spróbował, ale wolał bez chleba, co i pani Ryta w rezultacie uczyniła.

Po obiedzie Stanisław zegnał panie, mówiąc.

— Ponieważ i ja jutro wyjeżdżam, a chciałbym wracać przez nowy tunel Symploński,

mógłbym, o ile otrzymam pozwolenie, jechać razem aż do miejsca, gdzie panie w

Szwajcarii wysiądą

— My mieszkamy w Ouchy!

— Czyli, że rozstaniemy się w Lozannie

— To pan tak dokładnie zna Szwajcarię?

— W szczególności jezioro genewskie, a więc czy panie pozwalają?

— Co do mnie, proszę — odrzekła uprzejmie Jadwiga.

— W takim razie i ja — dodała Ryta.

— Przepraszam, a dlaczego w takim razie?

— Właściwie, niewiem doprawdy dlaczego tak powiedziałam.

— Ale ja wiem.

— Pan wie? Więc proszę powiedzieć!

— Bo pani mając wielką ochotę, abym razem pojechał, chcę to zamaskować i

zgodziła się niby dla tego tylko, że jej towarzyszka przystała.

Ryta zrobiła obrażoną minę i zapytała:

— Czy to zarozumiałość?

— Nie, to naiwność!

Stanisław pożegnał się. Wieczór, ponieważ opera jeszcze nie była otwarta, spędził

w kabarecie. Po powrocie do hotelu, myślał o poznanych damach.

Jadwiga bardzo mu

się podobała i postanowił poznać ją bliżej, w tym celu zostać przez pewien czas

w Ouchy, nie uprzedzając o tym. Panie tymczasem rozmawiały o nim, znalazły go sympatycznym i interesującym. Nawet Zbyszko wspomniał pana "ogono", który bardzo mu się podobał. Nazajutrz rannym ekspresem wyruszyli w jednym przedziale. Oprócz nich siedział jeszcze jakiś niesympatyczny szwab, niby zajadle zatopiony w Baedekerze, a ustawicznie zerkający z pod okularów na obie damy. Pogoda była bardzo piękna, przejrzystość powietrza nadzwyczajna, rozmowa toczyła się o pięknych widokach, górach i przyjemnościach Szwajcarii. Pani Ryta "bluzgała" swoją erudycją i encyklopedycznymi wiadomościami; istotnie posiadała ich dużo, ale niezbyt gruntownie. Wpadli na temat Egiptu, pani Jadwiga była bowiem w Kairze, rozmowa o Sfinksie, piramidach i faraonach dała początek wejściu na temat starożytności. W końcu pani Ryta zaczęła napadać na ród męski, który od zamierzchłych czasów, zawsze

przywłaszczał sobie przodujące prawa i maltretował kobietę, zdradzał ją i okłamywał. Stanisław przyczaił się i bardzo słabo bronił swoją pleć, co wprawiało Rytę w coraz większy zapał. Wtedy przemówił: — Nigdy nie przypuszczałem, aby tak młoda dama miała już tyle doświadczenia życiowego, wiadomości sposobów umoralniania i praw natury. Sądzę, że



wyświadczyłaby pani kolosalną przysługę ludzkości, zwłaszcza ucywilizowanej,  
gdyby ułożyła, czy wydała podręcznik lub brewiarz, pod tytułem:  
„Nauka moralnego  
i bogobojnego życia specjalnie dla mężczyzn”.

— Uważam to za zupełnie zbyteczne, najlepszym wskaźnikiem dla was jest natura—

rzekła z przekąsem Ryta.

— Natura? Ależ ona ma tyle wybryków i anomalji!

— Weź pan za przykład gołąbka i jego życie — rzekła, robiąc minkę.

— Gołąbka? a dlaczego nie koguta, który jest takim samym dobrym stworzeniem jak

i pierwszy — odparł Stanisław — a zresztą widzę, że aczkolwiek pani posiada

bardzo wiele wiadomości, jednakże dziedzinę ornitologiczno-seksualno-

moralnościową niedostatecznie przestudjowała. Otóż gołąb, ów ptaszek bez żółci,

podług pani symbol moralności i wiary małżeńskiej, jest furfant, tyran,

często wprowadza do gołębnika konkubinę i tam prowadzi "double ménage".

Zbyszko, który uważnie przysłuchiwał się szermierce językowej, zapytał;

— Mamusiu, co to jest kolkubina?

— To inny gatunek gołąbki, prędko odpowiedział Stanisław,—  
podobny do fajfrów,  
dorzucił.

— Zaczynamy mieć wyniki waszych sprzeczek, zaśmiała się pani Jadwiga.

— Otóż wracając do gołąbka — mówił dalej Stanisław — wielce mnie pani zaciekawia

i muszę doskonale ją przestudjować: z jednej strony widzę osobę postępową,

trzeźwo patrzącą na życie, rozumiejącą je — i jego przejawy, z drugiej strony

jest pani mamotatyczną!

— Jaką? — zapytała Ryta.

— Mamotatyczną, wyznawczynią mamotatyizmu, pani nie zna tej nazwy?

— Przyznam się że nie. W obecnych czasach powstała taka masa nowych nazw, które są niezrozumiałe, zwłaszcza te greckiego pochodzenia.

— Przepraszam, — przerwał Stanisław, tu niema nic greckiego, to czysto polski

wyraz, mamotatyizm pochodzi od tego co mama robi z tatą, to jest najzwyczajniejsze zacofanie.

— Mamusiu — przerwał Zbyszko, — a co inne mamy robią z tatusiami?

— Chodzą do teatru, na spacer, do kinematografu, do cyrku, odpowiedział,

Stanisław — to ty nie wiesz?

— Nie wiem, bo ja nie mam tatusia.

— Czy nie zmienilibyście tematu rozmowy — zaproponowała Jadwiga.

— Już — odrzekł Stanisław — bo oto ten Zefir zaprasza do wagonu restauracyjnego.

— Skąd pan wie — pytał Zbyszko, że ten konduktor ma na imię Zefir?

— Bo.....ja go trzymałem do chrztu — odpowiedział Stanisław.

— A u cioci Teresy, to piesek nazywa się Zefir — dodał chłopczyk Towarzystwo przeszło na lunch do rzeźnice oświetlonego wagonu, pociąg bowiem wjechał do Symplońskiego tunelu. Stanisław zajął miejsce między damami i szepnął

Rycie:

— Rozmowę uważam za niewyczerpaną, musimy ją dokończyć.

— Zgoda, ale bez udziału Zbyszka, co może nastąpić dopiero w Warszawie, jeżeli się spotkamy, bo ja tam bardzo rzadko wpadam.  
— W takim razie użyję innego sposobu.  
— Ciekawam?  
— Zobaczysz pani i to wkrótce!  
Stanisław spostrzegł, że Jadwiga nieco przybladła, wstał mówiąc:

— Pani zimno, temperatura w tunelu znacznie niższa od zewnętrznej, przyniosę paniom pledy.

— Ja dziękuję — rzekła Ryta.

— Jeżeli pan tyle łaskaw, to proszę wyjąć szal z rzemieni na siatce — prosiła Jadwiga.

W drodze do przedziału postanowienie zatrzymania się w Ouchy jeszcze więcej się wzmogło, wobec powiedzenia Zbyszka, że niema tatusia. Przyniósł szal i paltocik dla chłopca;—widząc tę pieczołowitość Jadwiga wyciągnęła doń rękę, mówiąc:

— Bardzo dziękuję za taką uprzejmość.

Stanisław miał ochotę pocałować piękną rączkę, ale wobec nagromadzonych przy stole pasażerów wstrzymał się. Pomógł Jadwidze otulić się szalem; kolor ponsowy z czarnym, spotęgował jej urodę: była zachwycającą, oczy ich się spotkały, był to moment decydujący; "wzięła mnie" pomyślał i dziwna błogość go ogarnęła.

Naprzeciwko siedziało dwóch panów — i z wielką ciekawością oglądali Rytę, a zwłaszcza Jadwigę, milcząc przytym zawzięcie.

— Niech panie zwrócą uwagę, jak je kontemplują ci Anglicy, siedzący naprzeciwko.

— Skąd pan wie, że to są Anglicy? spytała Jawiga.

— Po pierwsze — mają wielkie perszeroowskie zęby, powtórę bardzo długie szyje,  
po

trzecie są uczesani, jak się wyrażę, „wylizani” i po czwarte przy jednym leżą

rękawiczki z psiej skóry czerwono-ceglastego koloru.

Damy dyskretnie zaczęły się śmiać — gdy jakby na potwierdzenie orzeczenia

Stanisława, jeden z dżetelmenów zwrócił się do niego:

— I beg pardon sir — do you speak english?

— Yes — odpowiedział.

Wtóry Anglik zapytał, w jakim języku rozmawia z paniami.

— Po polsku — odrzekł.

— Dziękuję panu, nigdy nie słyszeliśmy tego języka, bardzo śpiewny i melodyjny —

a panie czy mówią po angielsku?

— John Bull pyta, czy panie mówią po angielsku?

— Ja nie, — odrzekła Jadwiga.

— Ja zaś znam tylko jeden wyraz — plum pudding, — dodała Ryta.

Stanisław przetłomaczył.

— Bardzo żałujemy — odrzekł Anglik, że nie umiemy po francusku.

— Wierzę — powiedział ironicznie Stanisław. Obaj wyszczerzyli wielkie zębiska,

co miało

wyrazić uśmiech.

— Co pan im powiedział, — zapytała Ryta.

— Powiedzieli, że żałują, iż nie mówią po francusku, na co odrzekłem

— wierzę!

— Ach jaki pan złośliwy, — przerwała Jadwiga.

— Czy mam powiedzieć—ciągnął dalej,— że i panie również żałują?

— Zdaje mi się, że to zbyteczne,— rzuciła Ryta — ale jakie tu dziwnie czyste i

przyjemne powietrze, nic niema dymu, zwykle w dłuższych tunelach  
czuje się jakiś  
swąd.

— Powietrze jest tu dlatego tak czyste, ponieważ przez tunel ciągnie  
nas nie

parowóz, a popęd elektryczny, a otwory boczne które panie mogą  
zauważyć od czasu

do czasu, służą jako wentylacja, — objaśniał Stanisław.

Śniadanie się skończyło — i powrócono do przedziału a Stanisław w  
dalszym ciągu

przystępnie opowiadał o wykonywaniu wogóle tunelów, a w  
szczególności

Symplońskiego, który jest najdłuższy, ma bowiem przeszło  
kilometrów.

Wykończenia uległo znacznemu opóźnieniu, ponieważ przy wierceniu  
skał, wytrysło

gorące źródło, zalewające wykonane roboty.

— W rezultacie jednak, wy, inżynierowie, przemogliście naturę i  
obdarzyliście

ludzkość wiekopomnym dziełem — zakonkludowała Jadwiga.

Pociąg zaczął biec doliną Rodanu; pięknych widoków Sabaudzkich  
Alp, nie był w

stanie zauważyć Stanisław, jego zachwycił widok czerwonego szala,  
który leżał na

kolanach właścicielki....

Pociąg zatrzymał się na stacji Montreux. Zbyszko stojąc w oknie,  
odwrócił głowę

wołając:

— Mamusiu, pan Sangajło idzie! Ryta wychyliła głowę i wołała:

— Wujaszku, wujaszku!

Wyszła do korytarza i po chwili do przedziału wszedł bardzo wysoki,  
stary, z

ogromnymi siwymi wąsami, wytwornie wyglądający jegomość, lekko  
utykając, opierał

się o laskę ze złotą rączką.

— Witam panią baronową — mówił, całując Jadwigę w rękę, a zwracając się do Zbyszka, przeciągłym litewskim akcentem:  
— A ty mały belzebubie nie zmęczyłeś się?  
— zapytał.  
— Nie, proszę pana, nic a nic.  
— Toś zuch!  
— Pozwoli wujaszek przedstawić sobie naszego towarzysza podróży,  
—mówiła Ryta —  
pana inżyniera Grotowskiego.  
— Bardzo rad, — mówił stary, wyciągając rękę — jestem Roger Sangajło.  
— A co rotmistrz tu porabiał? — zapytała Jadwiga.  
— Byłem w Caux u księcia Gedroycia, ale nie zastałem go, pojechał do Genewy—a  
gdzie to Małgosiu wynalazłyście panie takiego elegańskiego socjusza?  
— Poznaliśmy się w Medjolanie...

— Przy końskim ogonie—przerwał Zbyszko. Sangajło zrobił taką minę nadzwyczajną,  
że  
aż obie panie głośno się roześmiały. Jadwiga w humorystyczny sposób opowiedziała  
poznanie.  
— A niechże inżyniera Maryja cieszy, jak krotofilny! jak student, ale to dobrze:  
wesołość  
i dobry humor, oznaczają zdrowie i kwitnącą młodość, — a panie zadowolone z  
wycieczki?  
— Nadzwyczajnie, niech rotmistrz żałuje, że z nami nie chciał jechać.  
— Taż dobrodziko, gdzie mnie staremu, taż to cała podróż.  
— Wcale nie daleka i zupełnie nie męcząca, zwłaszcza że pan rotmistrz przesadza  
ze swą starością, — odezwał się Stanisław.

— A toż inżynier komplemencista, basuje staremu, taż ja dobrodzieju  
jestem  
bardzo stary, pamiętam przezacnego Murawiewa wieszaciela, żeby z  
piekła nie  
wyjrzał.

— Przepraszam pana rotmistrza, czy księżę Gedroyć, którego pan zna,  
jest bardzo  
otyły?

— Ależ gdzież tam, on zaś mężczyzna jak to pola, ten tak zwany  
Okseft, to jego  
stryj — umarł przed rokiem.

— Właśnie z tamtym — opowiadał Stanisław — poznałem się przed  
laty w  
Karlsbadzie, o ile był potwornej tuszy o tyle miły, sympatyczny, i  
bardzo  
wykształcony. Miał przy sobie wyrostka kozaczka,

którego specjalnym obowiązkiem było bezustanne budzenie księcia na  
spacerze. Z

powodu nadmiernej tuszy nie mógł chodzić, a ruch miał zalecony,  
dążył więc

drobnymi krokami — od ławki do ławki, i przysiadął — ale  
momentalnie zasypiał,

co mu było przez lekarza bezwzględnie zabronione. W tych razach  
hajduczek wołał:

— Książ, nie spyte, dochtur ne pozwala! Jeśli wołanie nie obudziło  
księcia,  
szarpał

go za rękaw i głośno powtarzał zakaz lekarza. Księżę bardzo lubił  
chłopca i nie  
gniewał się na niego.

— Tak zacna to była persona, zapisał duże pieniądze dla biedaków —  
dodał  
rotmistrz.

Ekspres zbliżał się do Lozanny, Sangajło mówił:

— Zaraz wysiadamy, ja zostanę w Lozannie, muszę zajść do kursalu,  
na obiad  
wróć, — dowidzenia pani baronowej. Skorzystam tymczasem, że  
śliczne rączki bez  
rękawiczek i pocałuję. Nie cierpię całować rękawiczki.  
— Ma pan rotmistrz słuszość, całować rączkę przez rękawiczkę, to  
tak jak  
słuchać przedziwnej melodji z zatkanemi uszami.  
— A niech inżyniera pani Kon pokocha, — zaśmiał się Sangajło.  
— Pani Kon? przez C. czy przez K?  
— Jak pan woli? — zapytała Ryta.

— Przez C. Pociąg się zatrzymał.  
— Żegnamy pana inżyniera i dziękujemy..... — zaczęła Jadwiga.  
On spojrział głęboko w jej oczy i przerwał:  
— Jeszcze panie nie pozbędą się mnie — zatrzymuję się w Ouchy!  
— W Ouchy? zapytały obie razem.  
— Mam bardzo ważną sprawę.  
— Ważną sprawę — spytała Ryta.  
— Tak.... dokończyć rozpoczętą z panią rozmowę, to jest ten sposób,  
o którym  
mówiłem.  
Ryta się uśmiechnęła. Wysiedli z wagonu, Sangajło został, reszta  
towarzystwa  
samochodem pojechała dalej. Ouchy jest właściwie dalszym ciągiem  
Lozanny i jej  
portem na jeziorze Genewskim.  
Komunikacja główna odbywa się za pomocą "funikulary" to jest  
kolejki linowej,  
ponieważ Ouchy leżąc nad jeziorem, znajduje się daleko niżej od  
miasta. Przejazd  
trwa minut. W drodze Stanisław mówił:  
— Jestem zachwycony pani wujem — musi być bardzo zacnym  
człowiekiem.  
— O tak jest, to brat matki mego męża, — stary kawaler, obywatel z



Wileńszczyzny. był w powstaniu roku ciężko ranny w nogę, dostał się do niewoli i był zesłany na Syberję, gdzie lat przecierpiał—należy jak żubr, do wygasających typów.

— Nieodżałowanych—wtrącił Stanisław.

— A gdzie ma pan zamiar" zamieszkać, — spytała Ryta.

— ile dostanę pokój, to w „Beau-Rivage”.

— To dobrze, bo i my tam mieszkamy,— przemówił Zbyszko,—tam bardzo pięknie i

wesoło, można rybki łapać na wędkę, nad brzegiem.

— Wielce zachęcające — zaśmiał się Stanisław.

Samochód zatrzymał się przed hotelem. — Dowidzenia —rzekła

Jadwiga — jeśli pan

życzy, prosimy jadać przy naszym stole.

— Bardzo dziękuję, nie omieszkać skorzystać z łaskawego zaproszenia.

Pierwszą czynnością Stanisława było dowiedzieć się, jak się panie nazywają,

czego dotąd nie wiedział. Jadwiga nazywa się baronowa Pritwitz Ryta zaś —

Koreyszowa.

Hotel "Beau-Rivage" jest pierwszorzędnym, ma około pokojów, wspaniałą

restaurację i piękny ogród dochodzący do samego jeziora; gwarno tam i ruchliwie,

pełno gości, słychać kilka języków różnych narodów. Stanisław udał się do

kwiaciarni i polecił stół w restauracji, przy którym jadało towarzystwo baronowej Pritwitz, udekorować. Mały codzienny bukiet stojący na stole,

umiejętną ręką przysłanej kwiaciarki zamieniony został na piękny kwietnik

zwłaszcza, że

sommelier po porozumieniu się ze Stanisławem zamienił stolik na daleko większy.

Grotowski oczekiwał godziny obiadowej w ogrodzie, przy placu tenisowym, gdzie śpieszono się z dokończeniem partji. Wkrótce przyszedł Zbyszko z jakąś panienką, przywitał się, mówiąc:

— Mamusia mówiła do pani Ryty, że pan dobrze zrobił, że zatrzymał się w Ouchy, bo pan jest bardzo miły i elegancki. Czy pan umie łapać rybki na wędkę? bo ja z panną Marją pójdziemy zaraz po obiedzie, mamy wędki u portjera, bardzo piękne!

— Któż to jest panna Marja?

— A o, tu stoi, to moja bona, Mamusia nie wzięła jej z nami, została żeby

pilnować rzeczy i pokojów, — zwrócił się do bony po francusku.—

To właśnie ten

pan, co mówił ogono!

Bona Szwajcarka, nie rozumiała po polsku, przez co "ogono" było dla niej

zupełnie bezbarwne.

Dzwonek obwieścił zaczęcie obiadu. Stanisław wszedł do sali jadalnej, gdzie były

zastawione dwa długie stoły i kilkanaście małych. Zatrzymał się, oczekując na

towarzystwo. Wkrótce przyszedł Sangajło i zwrócił się do sommelier, co się to

stało z ich stołem, ten wskazał na udeko-

rowany kwiatami—wtedy rotmistrz przemówił do Stanisława:

— Widzę, że inżynier jest szarmant, pewnie panie go zaprosiły do stołu—a on

kwiatami dziękuje—bardzo sprytnie, ale ostrzegam, że ja jestem  
zeland, bardzo  
zajzdrośny i celnie strzelam z pistoletu — zaśmiał się, ściskając rękę  
Stanisława  
— My jadam przy osobnym stole, żeby się nie ścieśniać, a przytem  
ja nie lubię  
jeść wszystkiego co podają za ogólnym stołem; jadam co lubię i co  
mnie się  
podoba, mam tu takóŜ własną starkę, którą zawsze wożę, zaprobuję  
pan, jeśli  
łaska. A ot i Małgosia nadchodzi, ja tam nie uznaję żadnych Ryt,  
Margot i innych  
dziwolągów, raz ty jesteś Polka, Małgorzata, to ty możesz być tylko  
Małgosia, a  
nawet nie Małka — zaśmiał się głośno.  
ZbliŜyła się Ryta.  
— To ma być nasz stół, ten kwietnik? — zapytała.  
— Niewiem, proszę pani, ja nieznam stołu, przy którym panie jadają  
— odrzekł  
Stanisław.  
— Tere fere kuku—strzela baba z łuku! Patrzaj, jakie niewinne  
jagniątko—śmiał  
się Sangajło.  
Przyszła Jadwiga i bona ze Zbyszkiem—zajęli miejsca. Fanie  
dziękowały za kwiaty,  
które wzbudziły ogromne zainteresowanie, wszyscy kierowali  
uzbrojone i  
nieuzbrojone oczy w stronę

stołu. Rotmistrz częstował starką, ale tylko Stanisław wypił. Obiad  
przeszedł  
bardzo wesoło. Stary nie jadł potrawki, natomiast przyniesiono mu pół  
pieczonej  
kaczki.

— Wujaszek jest kapryśny, nie jada wielu potraw.

— Czy pan inŜynier grywa w brydża?—pytał Sangajło.

— Czasem, podczas zimy.

— Ja bo jestem wielkim amatorem, grywam prawie codziennie w Kursalu, może pan życzy pojechać ze mną?

— Dziękuję bardzo, może innym razem.

— Mamusia pozwoli iść na ryby? — prosił Zbyszek.

— Dobrze — zwróciła się do bony — proszę uważać, żeby się Zbyszek nie zamaczał.

Rozeszli cię od stołu: Sangajło pojechał do kursalu, Zbyszek z boną na ryby,

panie ze Stanisławem do ogrodu, gdzie przechadzało się parami i grupami

kilkadziesiąt osób. Od jednej odłączyła się kobieta i zbliżała się do nich,

mówiąc bardzo prędko:

— Witam panie, jak się wycieczka udała? czy panie zadowolone? zwiedziły panie

ten raj na ziemi! Isola Bella, Pallanza, cudne miejscowości, wszystko to znam!

Pani baronowa trochę

zmizerniała, ale pani Koreyszyna zawsze kwitnąca, ja już przed obiadem widziałam

państwa jechać samochodem ze stacji.

Rozmawiająca dama, była młoda, może -o letnia, nawet bardzo przystojna i

świeża, ale małego wzrostu, miała rysy semickie i tak obfity gors, że przedstawiał coś potwornego, była ubrana z przesadzonym

wykwintem, a olbrzymie

butony, broszka, kilka bransoletek i niezliczona ilość drogich pierścionków były

dypłomem parwenjuszostwa. Panie bardzo oziębłe i powściągliwie traktowały ją,

zaledwie od niechcienia podały ręce. Stanisław dziwił się, że go nie przedstawiły, Ryta odpowiedziała:

— Jesteśmy bardzo zadowolone, wycieczka w zupełności się udała.

W tej chwili podbiegła - letnia może, bardzo ładna dziewczynka,  
typowa  
Żydóweczka, gustownie ubrana — przywitała się.  
— Pani matko — mówiła — łapaliśmy ze Zbyszkiem rybki, ale ja nie  
miałam  
szczęścia — nic nie złapałam, a on powiedział, że to dlatego, bo ja  
jestem  
jędza!  
— Grażyno, to nie pięknie skarżyć się, on tylko żartował, ty nie  
musisz obrażać  
się — odpowiedziała obfita dama — a gdzie Mirosław?  
— Nie wiem, pani matko!  
— Żegnamy panią — przemówiła Jadwiga.

Obie skłoniły uprzejmie głowy i poszły dalej.  
— To właśnie jest ta pani Kon, co to wujaszek życzył, żeby się  
zakochała w panu  
— jest to żona jakiegoś przemysłowca, zdaje się z Łodzi —  
opowiadała Ryta.  
— Gwałtem poznała się z nami — dodała Jadwiga.  
— Biedaczka, tak ją upośledziła natura; zesłała na nią karę bożą —  
mówił z  
westchnieniem Stanisław.  
— Pan ją zna i wie coś o jej zmartwieniu?  
— Nie mam tej przyjemności, wszak panie mnie nie raczyły  
przedstawić.  
— Byłam pewną — odrzekła Jadwiga, — że nie zasłużyłybyśmy za to  
na wdzięczność  
pańską, ale dlaczego spotkała ją kara boża?  
— Nie wiem, czy paniom jest wiadome, że żyłki na skrzydłach  
szarańczy są tak  
ułożone, iż tworzą arabskie głoski stanowiące dwa wyrazy: „Kara  
boża”,  
— A cóż to może mieć wspólnego z panią Kon? — zapytała Jadwiga.  
— Właściwie nie z nią... a z jej biustem — szepnął cicho.

— Ależ pan jest najniemożliwszy, mówię to zupełnie poważnie — rzekła Ryta.

— Obiecuję najsolenniejszą poprawę. Jutro zrobię dwie rzeczy: przedstawię się pani  
Kon i wy-

rażę jej moje najszczerze współubolewanie, a następnie wyzwę na pojedynek pana

Sangajłę za jego obrażające mnie przekleństwo, mówię zupełnie poważnie.

Stanisław wypowiedział to takim tonem i zrobił taką minę, że panie się roześmiały.

— Pan jest taki... taki — zaczęła Ryta.

— Taki... niech pani dokończy,—ananas, czy urwis, czy, jak pani woli, że na

niego nie można, czy nie warto się gniewać...

Ujął ją za rękę, pocałował i odrazu zmienił temat zapytując:

— Czy panie dawno są nad Lemanem?

— Ja od pięciu tygodni. Zastałam tu panią Ryte, tu poznałyśmy się i bardzo polubiły.

— A ja i wujaszek bawimy już prawie dwa miesiące — wkrótce trzeba wracać.

— Tęsknota do męża zaczyna panią ogarniać!

— A skąd pan wie, że ja mam męża?

— Wszak pani powiedziała, że pan Sangajło jest bratem matki pani męża.

— Mogę być wdową.

— Nie wygląda pani na nią. Pani baronowa jest wdową — rzekł bardzo poważnie —

ponieważ Zbyszek powiedział, że niema tatusia.

— Jaką nadzwyczajną ma pan pamięć!.. — dziwiła się Ryta.

— To wcale nie moja zasługa, ani przymiot,

to dar przyrody, ale czy panie nie uważają, że robi się coraz chłodniej, może

przejdziemy do salonu.

— Ma pan słuszość, chodźmy! Ponieważ pan nas badał, należy się odwet, czy pan

żonaty? — spytała Ryta.

— I tak i nie, albowiem przed czterema laty wstąpiłem w związki małżeńskie, a po

roku rozeszliśmy się skutkiem różnicy przekonań politycznych.

— Politycznych? — zapytały obie razem.

— Tak jest, żona moja jest monarchistką, arystokratką, ja — republikaninem,

demokratą, socjalistą.

— Socjalistą? — przerwała ze śmiechem Jadwiga.

— Wcale mnie to nie dziwi, że panie nie wierzą mi, albowiem według nich

socjalista to anarchista, nawet bandyta, chodzi z browniegiem, jest nieumyty i

źle odziany, a jednak Chrystus był również socjalistą.

— Ale zupełnie odmiennym — wtrąciła Jadwiga.

— Ja jestem również odmiennym socjalistą, z ciepłego pokoju z dywanami i w

krochmalonej koszuli.

— A? takim socjalistą — zaśmiała się Ryta.

— A Bebel przewodca niemieckich socjal-

stów, zapewne panie wiedzą, że mieszkał w pałacu i był bardzo majątnym.

Weszli do salonu — było mało osób. Zbyszko przeglądał ilustracje, ktore ona mu

objaśniała.

— Pani Jadwigo, może pani zechce co zagra — prosiła Ryta.

Baronowa usiadła do fortepianu i zaczęła grać, Stanisław z wyteżoną uwagą

przysłuchiwał się, grała nietylko poprawnie, ale artystycznie gdy skończyła poprosił o więcej; nie odmówiła i zagrała "Wiosnę" Moniuszki w układzie Melcera z wielkim uczuciem.

— A pan muzykalny? — zapytała Ryta.

— Nieco śpiewam,

— Pani Jadwigo, inżynier śpiewa!

— W takim razie proszę o rewanż, może pan będzie łaskaw zaśpiewać?

— Nie mam nut z sobą — mówił potulnie.

— To pan zaśpiewa bez nut — rzekła Ryta Stanisław zaśpiewał pięknym barytonem:

„Wdziękiem lica, blaskiem stroju, lśniąć sułtana  
[córka młoda

„Co wieczora szła do źródła, kędy szemrze  
[srebrna woda,

„A nad brzegiem srebrnej wody, gdy mrok cie-  
[nił jej kaskady

"Stał niewolnik piękny, młody — stał co wieczór  
[smutny, blady.

"Raz, gdy spojrział ku Fatymie, rzekła widząc  
[to spojrzenie:

"Powiedz jakie twoje imię, jakie twoje pocho-  
[dzenie?

"A niewolnik rzekł: mnie z młodu Mehmed zo-  
[wią, mnie tu znają,

"Ja z Selimów jestem rodu, co z miłości —  
[umierają!"

Gdy powtarzał ostatni wiersz i skończył, rozległo się brawo, to pani Kon tak klaskała i zaraz zwróciła się niby szeptem do baronowej, ale tak głośno, że



Stanisław usłyszał.

— Ślicznie śpiewa i jaka wzruszająca piosenka, proszę przedstawić mi pana

inżyniera Grot-Grotowskiego.

Nie było rady, nastąpiło przedstawianie.

— Pan inżynier musi znać mego męża Hipolita, on jest powszechnie znany. Mamy własną fabrykę w Łodzi, oto rekomenduję moją córkę Grażynę i syna Mirosława, on jest muzykalny, gra już na skrzypcach bardzo dobrze. Nasz kuzyn Core-del-Lasse dyrektor orkiestry w Piotrogradzie, rokuje mu artystyczną karierę. Stanisława drażniła paplanina Konowej, ale jako dobrze wychowany cierpiał i słuchał, stojąc

jak martwy słup drewniany, ale ona z wielkim zapałem zaczęła chwalić jego śpiew.

Ryta ulitowała się nad nim mówiąc:

— Proszę na filiżankę herbaty, przywiozłam ją z domu.

— My codziennie korzystamy z uprzejmości pani Ryty i raczymy się wyborną herbatą

— dorzuciła Jadwiga.

Panie dyskretnie chwaliły śpiew Stanisława — piosenki nie znały, treść podobała się.

— Uważam, że przekleństwo wujaszka Rogiera już zaczyna się sprawdzać—żartowała

Ryta.

— A tak, tak, trzeba rotmistrzowi powiedzieć! Stanisław udał, że nie rozumie.

— Pan Sangajło mnie przeklinał?

— Może nie przeklinał, a życzył, aby pani Kon zakochała się w panu

— dodała

Jadwiga.

— A dlaczego pani Konowa ma się zakochać w panu inżynierze ogono? — zapytał

Zbyszek.

— Zbyszku! co ty pleciesz, jak będziesz niegrzeczny — nie pozwolę jadać z nami,

pójdiesz z panną Marją do ogólnego stołu. Przepraszam pana bardzo za tego

urwisa, wstyd mi doprawdy!

— Nic nie szkodzi — Zbyszku, możesz mnie nazywać—signoro ingeniero Ogono!

— Proszę pana... Zbyszku, zabraniam ci mówić coś podobnego — wyrzekła serjo

Jadwiga.

Stanisław żartował na temat poznania się

i pani Kon. Wkrótce towarzystwo rozeszło się, on poszedł przeczytać dzienniki.

Po drodze na schodach Ryta mówiła do Jadwigi:

— Bardzo przyjemnego inteligentnego zdobyliśmy towarzysza!

— Czy tylko przyjemnego? zdaje mi się, że gorzej — bo pociągającego.

— Alboż to gorzej? — przerwała Ryta.

— Oj pani Ryto, jesteś... — dokończyła szeptem — niemoralna...

Nazajutrz koło rano Grotowski był w ogrodzie, wkrótce spostrzegł wychodzącego

z hotelu i dążącego do jeziora, Sangaję, poszedł naprzeciwko.

— A też inżynier ranny ptaszek, dzień dobry, Małgosia mówiła mi już o pańskim

sukcesie i mojej przepowiedni. Konowa zagustowała w panu, ostro do niej — choć

się broni!

— E, wątpię czy by się bardzo broniła. Witam, dzień dobry rotmistrzowi; dokąd

tak rano?

— Ja codziennie jeżdżę do Evian, może pan zna?

— Znam, kąpiele naprzeciwko, po drugiej stronie jeziora, już we Francji.

— Otóż ja tam kuruję się; biorę kąpiele i nawet piję wodę, ma to mi pomóc na mój artretyzm

— rozumie się, jak umarłemu kadzidło — bo już mam ze czterdzieści lat tę chorobę

i nic nie pomogło, ale dałem słowo i muszę się leczyć.

— Jakże mają pomóc kąpiele, przepraszam rotmistrza, przy używaniu starki i obfitego jedzenia...

— Taż dobrodzieju ja piję tylko starcę i koniak, nie zawierające żadnych kwasów—

jak wina, których nie używam — a te przysparzają artretyzmu, troszku starki nie

zaszkodzi, a doda sił, może inżynier pojedzie ze mną do Evian, sezon już się

kończy, ale jeszcze są szykowne paryżanki.

— Dziękuję rotmistrzowi — zostanę w Ouchy, ale odprowadzę pana na przystań.

Skierowali się na prawo.

— Ja wrócę, jak zwykle koło południa—mówił stary — dziś niedziela, może

pojedziemy po obiedzie na koncert do Montreux, bardzo dobra muzyka w Kursalu a i

pogramy w koniki.

— Ja nie gram w żaden hazard — a l'exep-tion hazard d'amour!

— Taż jaki to hazard koniki, ot, poprostu zabawa, baronowa i Małgosia bardzo

lubią, a Konowa ma szalone szczęście—zawsze wygrywa, wszyscy oprócz mnie

zajzdroszczą jej. Ona mnie bardzo nie lubi i jest nie łaskawa na mnie, ale ja

nie rozpaczam, ja nie szanuję takich nachalnych osób, przyczepiła się przemocą

do nas i zaraz za pan

brat; wywodziła swoich antenatów, dyrektora orkiestry co się nazywa Core-del-

Lasse, a tak jak ja często w Petersburgu bywałem, tak pyta, czy ja go nie znam.

Wielka mi persona grata! powiedziałem: Znałem jego dziadka, ale nazywał się

Kordelas i był pejsaty chałaciarz, miał wędrownych kilku grajków i grywał w

Berdyczowie i w okolicach po dworach do tańca. Obraziła się, ale jej to nie

odstraszyło — a ot i statek nadchodzi — do zobaczenia się!

Stanisław wrócił i poszedł do sali jadalnej, zaledwie usiadł przy stole, podbiegła do niego Grażyna i dygając mówiła:

— Pani matka kazała powiedzieć panu inżynierowi, że baronowa przychodzi dopiero

o dziesiątej na śniadanie, może pan będzie łaskaw do naszego stołu, z nami razem

siedzą państwo konsulostwo.

— Proszę podziękować mamie za łaskawe zaproszenie, ale ja momentalnie wypiję

kawę i zaraz wychodzę.

Podano kawę, konfitury, bułeczki i masło. Stanisław bardzo wolno jadł nie

odwracając się w stronę Konowej. Po chwili Mirosław podszedł do stołu, położył

złożone dzienniki, mówiąc:

— Pani matka przysłała ostatniego kurjera warszawskiego i porannego, może pan

inżynier przeczyta?

Nie było rady, Stanisław prosił żeby podziękować za grzeczność i ją przeglądać

kurjery. Po chwili znów podeszła Grażyna dygnęła mówiąc: — Pani matka prosi,  
żeby pan inżynier był łaskaw przyjść o czwartej do salonu posłuchać,  
jak  
Mirośław będzie grać na skrzypcach.

— Proszę powiedziedź pani Kon, że nie mogę być, ponieważ jadę z panem  
rotmistrem Sangajło na koncert,—chciał powiedzieć—do Montreux,  
ale instyktownie  
się wstrzymał.

W. tej chwili podeszła do stołu Ryta prześlicznie ubrana w kapeluszu i  
jeszcze  
prześliczniej wyglądająca. Stanisław na przywitanie pocałował ją w  
rękę, ona z  
uśmiechem przemówiła:

— Jaki pan przezorny, nie chciałeś powiedzieć dokąd jedziecie na  
koncert, a czy  
rzeczywiście tak jest?

— Widziałem się przed godziną z wujasz-kiem, powiedział, że w  
ogrodzie kursalu,  
w Mon-treux w niedzielę grywa świetna orkiestra.

— My zwykle, jako amatorki muzyki bywamy, a — "Kurjery  
Warszawskie"! domyślam  
się... pani Kon... miłe złego początki...

— A może złe miłego początki... niewiadomo... Pani w kapeluszu z  
racji?

— Po śniadaniu jadę na nabożeństwo do Notre Dame do Lozanny, a  
pan?

— Ja pomodłę się w domu...

— A do jakiej Madonny?

— Do Madonny del Destino!

— Nie słyszałam o takiej. -- A jednak jest taka.

Ryta zaczęła śniadanie. Pani Kon z dziećmi wstała i wychodziła z  
jadalni, ale

zбочyła i zatrzymała się przy stole, gdzie siedzieli Ryta ze Stanisławem.

— Dzień dobry — mówiła. — Dzieci! przynieście mi moja. książkę do nabożeństwa,

tą mniejszą, oprawną w kość słoniową ze złotą klamerką, i swoich książeczek nie

zapomnijcie, ja chwilę tu zostanę.

Siadła przy stole i dalej mówiła:

— Państwo jedziecie dziś na koncert? a dokąd?

— Przyznam się pani, że nie wiem—odrzekł Stanisław. — Rotmistrz nie wymienił miejscowości.

— Mam jednak nadzieję, że pan inżynier nie odmówi posłuchać gry Mirosława i

wypowie o niej swoją opinię.

— I owszem — odrzekł bardzo zimno.

— Państwo nie jadą do kościoła?

— Jeszcze nie — odpowiedziała Ryta.

— Ja wolę być na wcześniejszem nabożeństwie, kiedy niema tłoku, można się

swobodniej pomodlić — westchnęła dyskretnie.

Grażyna i Mirosław wrócili, pani Kon pożegnała się, wyciągając upierścienioną

rękę i obda-

rzając Stanisława powłóczyło-figlarnem spojrzeniem.

— Długo ma pan zamiar zostać w Ouchy?— zapytała Ryta.

— Nie mam pojęcia, to zależy będzie od różnych okoliczności.

— Czy jedną z nich jest pani Kon?

— Może — nie można wiedzieć, a pani długo zostaje?

— Nie mam pojęcia, zależnie od różnych okoliczności! — zaśmiała się. — Mieliśmy

dokończyć zaczętej rozmowy w pociągu, a tu właśnie nadchodzi pani Jadwiga, a

przeważnie hamulec...

— Hamulec?

— No — Zbyszek!

Jadwiga wyglądała cudownie, nieco przybladła, ale jej oczy miały taki wyraz, że

Stanisław stał chwilę jak osłupiały. Po przywitaniu, które zadokumentował

ucałowaniem rączki, baronowa zasiadła do śniadania.

— Mamusiu, synek nie jadł wczoraj wieczorem miodu, to teraz może jeść i miód i

konfitury, prawda?

— Dobrze, ale tylko nie wiele, wszak ty nie jesteś łakomy.

Zaczęto ogólną rozmowę, nadeszła bona i zajęła się Zbyszkiem. Ryta wstała

mówiąc:

— Jadę do kościoła, a pani?

— Modliłam się w pokoju, nie znoszę upału i tłoku.

— To tak, jak i ja — dodał Stanisław.

Ryta spojrzała na niego znacząco i pożegnała towarzystwo. Wkrótce bona zabrała

Zbyszka, po chwili Jadwiga zaproponowała:

— Może pójdziemy nad jezioro?

— Z największą przyjemnością.

Wyszli do ogrodu, osób było bardzo niewiele, przeważnie bawiły się dzieci.

Stanisław pieścił oczy widokiem tej pięknej kobiety, jako prawdziwy dżentelmen

nie wpatrywał się w nią, ale rozmawiając, od czasu do czasu

zatrzymywał na niej

dłuższe spojrzenia. Ona zaczęła rozmawiać

o wczorajszym jego śpiewie, niedobrze rozumiała fabułę piosenki:

— Dlaczego córka sułtana od razu zwróciła uwagę na niewolnika? To takie niezgodne

z pojęciami wschodu.

— Tłumaczenie polskie jest niedołączne — objaśniał Stanisław, — w oryginale jest

to tak; Fatyma codziennie spotykała niewolnika na tem samym miejscu, a że dzień za dniem stawał się coraz bledszym i mizerniejszym, to ją zaciekawiło i dopiero dowiedziała się, że biedaczysko z miłości dla niej umiera.  
— Dziękuję, teraz rozumiem.  
— Że z miłości można umrzeć? — zapytał.

— E, to tylko "licentia poetica".  
Te ostatnie słowa zastanowiły Stanisława i zaczął umiejętnie a uporczywie badać poziom wykształcenia Jadwigi, przebiegając z tematu na temat. Rozmowa ciągnęła się długo, a rezultatem było, że przekonał się o tem, iż Jadwiga była wysoce wykształconą i czytana, nie produkowała jednak swej wiedzy z błyskotliwością Ryty. Coraz więcej zachwycała go aż wyrzekł:  
— Błogosławię rządy Wiktora Emanuela! Spojrzała mu w oczy z wielkiem zdumieniem.  
— Panią to dziwi?  
— Nic nie mogę zrozumieć.  
— A to takie proste: król ten zasłużył, że mu wystawiono pomnik, gdyby na to nie zasłużył, ja nie miałbym tego wielkiego szczęścia i nie poznałbym pani.  
— Pan to nazywa szczęściem?  
— Największem, jakie kiedykolwiek spotkało mnie w życiu!  
— A może to także "licentia poetica"?  
— Nie, pani, to szczerza, prawdziwa rzeczywistość.  
— poznałam w życiu wielkiego zawodu i dlatego jestem sceptyczką.  
— Z jednej strony zasmuca mnie, że w tak młodym wieku i przy tak wspaniałej urodzie



ogarnęło panią zwątpienie i niedowierzanie, z drugiej zaś raduję się, ponieważ

ja jestem optymistą a — les extremes se touchent...

— A ja dodam: les beaux esprits se rencontrent!

— Czyli, że pani Kon jest wielce sympatyczna, a pani Ryta poprawia naturę,

potęgując sztucznie niektóre wdzięki.

— Ale pan jest bajecznie złośliwy i dokuczający.

— To jest źle wychowany?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale pomyślałam. Niedługo będę dokuczliwym, za dwa dni ulotnię się.

— Jakto, już za dwa dni? — zapytała mimowoli z pewnym niepokojem — czy warto

było jechać do Ouchy wszystkiego na trzy dni?

— Lepszy dzień motyla od ślimaczych lat... czasem złudy chwila płaci wrażeń

światl

— A czy pan jest motylem?

— O tyle, o ile pani jest złudą...

— A pan co woli, złudę, czy rzeczywistość?

— Ja? — spojrzał jej w oczy, długo zatrzymując wzrok i mówiąc: — wolę złudną

rzeczywistość, ona daje prawdziwą rozkosz.

Dzwonek przyzywał na lunch.

— Ale czas leci, już śniadanie!

— A myśmy zaledwie rozwinęli żagle i nie zdążyli wypłynąć z zacisznej przystani,

ale, ale,

rotmistrz proponuje, abyśmy pojechali na koncert do Montreux, czy pani to

zaakceptuje?

— Z przyjemnością, gra tam wyborna orkiestra.

Przeszli do jadalni. Sangajło i bona ze Zbyszkiem już siedzieli, wkrótce

przyszła i Ryta. Zaczęto obiad, gdy Grażyna podbiegła, dygnęła i zwróciła się do

Sangajły:

— Pani matka uprzejmie zapytuje pana rotmistrza, dąkad państwo jadą na koncert?

— Do Bramaputry! — odrzekł głośno stary, i wychylił kieliszek starki,

Grażyna odeszła zawstydzona.

— Ależ rotmistrz energiczny i miazdzący — zaśmiała się Jadwiga.

— Taż jaka tam energia u staruszka nad grobem!

— Rotmistrz należy do tych fantastycznych Magadamów, którzy rodzą się starcami i

lata ich idą wstecz, a umierają dziećmi—mówił Stanisław.

— Bardzoby to dobrze było, bo jakoś mi teraz wcale nieźle na świecie, in gratiam

czego wypiję jeszcze kieliszek starki—zaśmiał się.—A może inżynier pozwoli?

choćby za zdrowie pani Koni

— Wolę za zdrowie szanownego rotmistrza! Śniadanie się skończyło.

Przy kawie

Jadwiga zapytała Stanisława:

— Czy chce pan posłuchać muzyki?

— Z rozkoszą, dziękuję!—pocałował ją w rękę.

Sangajło poszedł na drzemkę, Jadwiga z Rytą i Stanisławem do salonu. Grała

długo, on wpatrywał się zaszuchany... Rytę zaczęła niecierpliwie muzyka i

zachwył Stanisława, szarpała nerwowo frendzlą woreczka.

Po godzinie muzyki rozeszli się, Ryta chciała pozostać w domu, ale Stanisław

uprosił ją i o -ej pojechali wszyscy do Montreux. Przyjechali do ogrodu w

Kursalu podczas pauzy orkiestrowej, zaledwie zajęli miejsca przy stoliku i

zamówili podwieczorek, zaczęto grać bardzo piękną uwerturę, po chwili Jadwiga

zwróciła się do Stanisława:

— Nie znam tej muzyki, czy pani nie wie co to za piękny utwór?

— To uwertura z "La Forza del Destino" Verdi'ego.

— To znaczy, siła przeznaczenia?

— Tak, siła przeznaczenia...

— Jakie to dziwne? — szepnął cicho, ale Jadwiga usłyszała.

— Czy pan wierzy w przeznaczenie?

— Niewiem, zobaczę — szepnął.

— Teraz rozumiem—złośliwie rzekła Ryta,— jaka to Madonna del Destino!

Stanisław spostrzegł bardzo wykwintne towarzystwo, siedzące w pobliżu.

— Przepraszam — rzekł, — ponieważ panie są w towarzystwie rotmistrza zechcą przeto udzielić mi kilkuminutowego urlopu, abym przywitał moich dobrych znajomych.

Panie przyzwalająco skinęły głowami, on poszedł do siedzących w pobliżu, gdzie

był wielce uprzejmie i mile witany. Towarzystwo stanowiły dwie młode damy i dwu

młodych panów, którzy powstali z miejsc i ściskali dłoń Stanisława. Jadwiga i Ryta z wyteżoną uwagą śledziły.

— Jakie piękne i szykowne kobiety — szepnęła Jadwiga, — szczególnie ta

blondynka, wspaniała, imponująca.

Po kilkunastu minutach Stanisław powrócił. Ryta nie wytrzymała.

— Jakie dystygowane towarzystwo, damy cudnej urody i szyku, czy można zapytać,

kto to?

— Ta dama z face a main, to hrabina Potocka, ten obok siedzący, w jasnym

garniturze — jej mąż, naprzeciwko — jej brat, hrabia Komar, a druga  
dama — to  
moja żona!  
— Pańska żona? — zapytały obie z największym zdziwieniem i  
uczwały, jakby jakiś  
żał do niego.  
— Tak jest... Pani Iza Grot-Grotowska...

## II.

"Kara boża" pani Kon przybrała jeszcze bardziej wyniosłe linje,  
podnoszone  
przyspieszonym oddechem wzburzenia, — pomimo godziny  
dziesiątej, ani baronowa,  
ani nikt z jej towarzystwa nie zszedł jeszcze na śniadanie.  
Już wczorajsze, jakby umyślne, tajemnicze zniknięcie na cały wieczór,  
mocno  
oburzyło siostrzenicę mistrza Core-del-Lass z Piotrogradu. Grażyna i  
Mirośław  
gubili nogi w ciągłej gonitwie za jakąś wiadomością, która mogłaby  
zaspokoić  
ciekawość "pani matki"!  
Tymczasem na pozór, nie działo się nic nadzwyczajnego w  
apartamentach pierwszego  
piętra. Pani Ryta dbająca bardzo o swój świeży wygląd, nie wstawiała  
jeszcze; z  
zarzuconemi nad głowę ramionami otulona w miękki batyst i koronki  
wyciągała się  
z rozkoszą, chłonąc zmrużonemi oczyma promienie słoneczne, które  
bogatym snopem  
padały na łóżko.  
Obok na stoliku stała mała zastawa nieskończonego śniadania;  
czekolada i  
biszkopki obojętne były dzisiaj pięknej pani. Zamiast po filiżankę,  
wyciągnęła

rękę do leżącego obok lusterka, oprawionego w kość słoniową i manewrując nim zrećźnie, badała swoje odbicie.  
Flirt, a raczej początek flirtu z interesującym

inżynierem psuł się i zaczynał przybierać kierunek nie taki — z jakiego mogłaby być zadowolona. "Madonna del Destino", uwertura z "La forza del Destino" zadrasnęły trochę jej miłość własną, a spotkanie pięknej blondynki, której incognito tak prosto zdradził Stanisław, oszołomiło i wprawiło w pewien stan osłupienia na razie, wesołą i pewną siebie Rytę. Nie chciała, by ją posądzono o szybkie zapalenia i natarczywość podobną pani Kon, to też nie czyniła tymczasem żadnych planów, poprzestawszy jedynie na bardziej precyzyjnym podkreśleniu swej urody oraz tualety. Zupełnie inne wrażenia przeżywała pani Jadwiga. Nie był to typ kobiet wesoło flirtujących, a więc mało niebezpiecznych, nie rozumiała nawet i nie zdawała sobie sprawy z tej nazwy; należała do innego typu kobiet, które mimowoli, nie szukając nawet, wpadały w uczucia romantyczne, przeżycia pełne namiętnych i tragicznych powikłań. Jak większość kobiet sentymentalnych, pociągały ją w mężczyźnie te właśnie cechy charakteru, które dostrzegała w przypadkowym towarzyszu medjolańskim. Niezrównany humor, błyskawiczne zwroty dowcipu i subtelne hołdy, którymi umiał otoczyć, niepostrzeżenie dla innych, wybraną kobietę, było to wszystko miłe jej od pierwszej

chwili poznania. Mając lat nie była dzieckiem, naiwną dziewczyną i wiedziała doskonale, że dla niej, a nie dla Ryty, Grotowski został w Ouchy. Długo w nocy nie spała przebiegając myślą minione lata i zastanawiając się nad swą przedziwnie bogatą naturą, zdolną do każdego zbliżającego się uczucia zwracać z tak nadzwyczajną świeżością wrażeń, jakby lata ubiegłe nie zostawiły żadnych śladów w jej duszy, a przecież daleka była od wszelkiej pustoty. Grotowski tymczasem, najnormalniej i najprościej w świecie spał, zdrowym snem człowieka o czystym sumieniu, silnego, wesołego i zadowolonego z życia. Gdy się obudził koło -ej, pierwszą myślą, była głucha nieuzasadniona złość przeciwko Bogu ducha winnej pani Kon, której obfite wdzięki w zastraszająco realny sposób, były zmorą jego snów. To też wpadł w istną wściekłość, gdy na wniesionej tacy ze śniadaniem zauważył jej bilecik wystylizowany najczystszym polskim językiem pełnym „ę” i „ą”, zapraszający go, do jej apartamentu dla wysłuchania młodocianego skrzypka Mirosława. Ubierał się szybko, aby jeszcze przed lunchem spotkać swoje panie — a właściwie Jadwigę, której milczenia w powrotnej drodze z Montreux nie umiał sobie wytłumaczyć. Schodził w zamyśleniu do ogrodu, gdy naraz

— formalnie zimnym potem się oblał, usłyszawszy za sobą:

— Pan inżynier dzisiaj zasnął! A ładnie, ładnie, uciekli państwo wczoraj na koncert sami, a ja jestem tak muzykalną, uduchowianą, tak spragnioną muzyki! To po wuju Core-del-Lasse. och jak on mnie umuzykalniał, mój Mirosław zupełnie wykapany z niego!

— ?

— Pan nie wierzy? Pan usłyszysz jak on gra, on jest taki uduchowiony jak ja!

— A cóż tam panie dobrodzieju prawisz pani o duchach, kiedy słońca pełno wokoło.

Dobry dzień inżynierze kochany, chodź na słówko!

Grotowski z wdzięcznością spojrział na rotmistrza, który wybawił go od szarańczy,

ta zaś nie bardzo lubiąc Sangajłę i bojąc się jego złośliwości, prędko pobiegła

swemi krótkimi nóżkami, unosząc wdzięki w stronę hotelu.

Lunch zebrał całe towarzystwo przy stoliku. Stanisław w milczeniu witał obie

panie, przyczem zauważył, śliczny melancholijny wyraz twarzy

Jadwigi. Pomimo, że

Sangajło i Zbyszek ożywiali ciszę rozmowami o sposobie łowienia ryb, pomimo, że

Stanisław starał się o rozweselenie pań, nie było tak miłego nastroju jak

zwykle. Grotowski nie mógł zorjentować się ani w sztucznym chłodzie i

powściągliwości Ryty, ani w prawdziwej

zadumie Jadwigi, pastwił się przez chwilę na podawanych potrawach, aż wreszcie

rzekł:

— Nie byłem nigdy w Egipcie, pomimo, że lubię i dużo podróżuję, nie byłem

dlatego, że bałem się zawsze tej chwili, kiedy stanę przed Sfinksem, a oto

dzisiaj los kazał mi stanąć przed dwoma i nie orientuję się nic a nic w wrażeniu!

Sfinks w postaci Ryty nie wytrzymał i odpalił:

— Widocznie wrażliwość pana jest mniej giętka, niż zdolność kombinowania

słownika wyrazów obcych, "szczególniej greckiego pochodzenia"!

— Sfinks przemówił?

— Tylko na moment, — aby odsłonić swą tajemnicę, choćby w jednym błysku — trzeba

go studjować, suggestjonować żądzą poznania.

— Sprobuję — odparł Stanisław, nie patrząc w jej stronę.

Tymczasem do stołu nadbiegła pani Kon bojąc się stracić zapowiedzianego popisu

syna przed nowym znajomym, którego, mówiąc nawiasem, chętnie poprosiłaby również

jako eksperta swoich wdzięków.

— Ja pana inżyniera zabieram do siebie, już umówione, Mirosław stroi skrzypce.

Grotowski tak rozdzierająco smutnie, miłosiernie i bezradnie spojrział po

wszystkich, że Jadwiga roześmiała się wesoło mówiąc:

— Bylibyśmy bardzo radzi wszyscy usłyszeć

młodego artystę, może urządzimy koncert w ogólnym salonie?

Biedna pani Kon przez chwilę mężnie walczyła z chęcią ponętnego sam na sam z

Grotowskim i z próżnością matki, to ostatecznie przemogło, i rzekła:

— Pani baronowa jest taką uprzejmą osobą, pójdę sama po Mirosława, jak to

dziecko gra, państwo zobaczą!

Stanisław śledził minki Ryty.

— Pani Ryto, gdzie humor?

— Zgubiłam!

— Można poszukać?



— Jeśli pan znajdzie!

— To co?

— To będzie pan cierpliwy!

— Aż tak? A jeśli poszukać w słowniku „wyrazów obcych, szczególnie greckiego pochodzenia”?

— To cierpliwość pana będzie na krótszą próbę wystawiona, gdyż w tych dniach —

mój mąż przyjeżdża!

Grotowski chciał coś odpowiedzieć, ale już wpłynęła pani Kon z synkiem zasypując

wszystkich uprzejmościami i wykrzyknikami. Sangajło dyskretnie usunął się do

czytelni i wpadł w głęboką zadumę mocno sen przypominającą.

W trakcie gry chłopca, który, choć mały, zdradzał typową żydowską muzykalność i

przy-

tem typową arogancję i pewność siebie. Grotowski, siedzący obok Jadwigi, w

pewnej chwili, ledwo dostrzegalnym ruchem ust szepnął:

— Czy mogę prosić panią o jedną chwilę rozmowy? Chodzi o rzecz wielkiej dla mnie

wagi!

Nie można było dojrzeć, czy dosłyszała, siedziała spokojna, z opuszczonemi

powiekami.

— Po obiedzie, koło jeziora — usłyszał jej szept po chwili i momentalnie, wobec

cichnących dźwięków muzyki, rozsypał się w zachwytach nad grą malca, które były

nawet szczere, pod wpływem radości ze zdobytych słów.

— Eh bien monsieur, cierpliwość pana, może dostać urlop, oto mój mąż — mówiła

Ryta.

Grotowski spojrział na młodego mężczyznę, podchodzącego za Rytą do stolika i —  
zdumiał. Inaczej wyobrażał sobie jej męża. Ten jasny blondyn, wysmukły, delikatnej, wprost ślicznej urody, nadawał się raczej do czułych scen pasterskich, niż do pewnej siebie, trochę ekscentrycznej, trochę wyzywającej postaci Ryty.  
Obserwując podczas obiadu ich spojrzenia, ruchy i zachowanie, skonstatował: że  
Korejsza jest ogromnie w żonie zakochany, ona zaś—traktuje go, jakby trochę z pobłażliwością, wyższością i kokietuje, jak wszystkich innych mężczyzn.

Obiad był wyjątkowo ożywiony i wesoły z powodu niespodziewanego przyjazdu męża  
Ryty, choć właściwie on sam najmniej się do tej wesołości przyczyniał. Zato Ryta bawiła się doskonale. Jadwiga była sztucznie podniecona, myśląc o czym chce z nią mówić Stanisław, a Sangajło podwajał i potrajał kolejki starki, przyczem głos jego stawał się bardziej doniosły, a zwykła galanterja dla dam silniej zaakcentowana.  
— Panie inżynierze kochany, jeszcze jedną starkę, było nie było, kiedyśmy już tak sobie do serca przypadłszy — wypijmy! Ot, na życie narzekać nie można, dobra kompanja, młode, piękne, panie kobiety — cóż lepszego? Starka do picia — młódka do życia, człowiekowi najmiłsze. Ja tam na towarzyszkę wierną życia wybrałem starkę, ale i do młódek ciągnie fantazja!  
— A jeśli ja chciałabym rywalizować ze starką?

— Pani baronowo, królowo, pierwszeństwo tobie po obiedzie — ale przed obiadem —  
wybacz królowo — starka pierwsza!  
Rączki baronowej rotmistrz obcałowywał, ona zaś, śmiała się isticie panięńską,  
promienną wesołością.  
— Bolo reveil-tois! — zawołała Ryta — mego męża rozmarza Szwajcarja, gdyż tu właśnie zakochał się we mnie, a raczej... ja zmusiłam go do tego!

— Czy można zmusić?..  
— Pan nie wierzy?  
— Prawie, ciekawe byłoby usłyszeć teorię popartą przykładem!  
— Może ciekawsze — wziąć lekcję poglądową systemu?  
— Ciekawsze, lecz może niebezpieczniejsze!  
— Dla kogo? ucznia, czy nauczycielki?  
— Dla systemu, który mógłby się okazać niedoskonałym!  
Pani Ryta zmarszczyła misterne brewki.  
— Bolo, raconte! — rzuciła.  
Jakby snując dalszy ciąg myśli „Bolo”, natychmiast zaczął:  
— Bo zginął mi w hotelu sygnet stahy, ho-dzinny i zhobiłem taką awantuhe...  
Przy ostatnich słowach mimowoli roześmieli się wszyscy, patrząc na słodką twarz opowiadającego.  
— Sygnet się znalazł już późno wieczohem w załomie jakiegoś dywanu, ale Vehsot tak mi obrzydło, że postanowiłem haniutko wyjechać statkiem do Tehitet.  
Wchodząc na pokład, zauważyłem odhazu młodą, śliczną, elegancką kobietę, w szahym angielskim kostjumie z męskim stickiem w hęku, któha duży, biały, miękki pled zarzucała na ławkę. Pomyślałem, że zabieha miejsca zbyt wiele, ale ma poczucie ahtyzmu i zmysł dekohacyjny.

Siadając ghomadzila wkoło siebie les tous petits hien, pięknej,  
wykwintnej  
kobiety.  
Statek huszył znacząc phomienne, bhylanto-we łuki na jeziorze, w  
któhym płonęły  
blaski słoneczne. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, wheszcie  
siadłem w pewnym  
oddaleniu na tej samej ławce. Młoda dama nie zwhacała na mnie  
uwagi, pomimo, że  
od czasu do czasu dhgające wesołością kąciki ust zdhadzały, że  
zauważyła mój  
zachwył. Nie wypadało być nathętnym, odwhóciłem głowę w inną  
sthonę i naphawdę  
utonałem wzhokiem w cudownej grze słońca, w przepięknych  
widokach i bahwnej  
zieleni wybrzeży.  
Wtem dhgnałem pod wpływem gwałtownego, enehgicznego  
uderzenia stickiem po ławce  
w moją sthonę i usłyszałem:  
— Pahdon monsieur, czy nie zechce pan zaopiekować się moim  
miejscem? Schodzę na  
chwilę zjeść śniadanie.  
Zawahałem się, złożyłem ukłon — i już jej nie było. Po pewnym  
czasie whóciła i  
odhazu zaczęła się śmiać:  
— Oh! Vothe mine monsieur! Phoszę siadać na pledzie, dophawdy  
zbyt wielki  
althuizm pilnować puste miejsce!  
Musiałem naphawdę śmiesznie wyglądać siedząc skhomnie na ławce,  
obok shehoko  
hozruczonego pledu. Przedstawiłem się ślicznej pani,

okazało się, że była też Polką, zaczęliśmy hozmawiać i.....

— "La forza del Destino" — wtrącił szeptem Stanisław.

— I zakochałem się. Tak zakochałem od pierwszej chwili, kiedy wstrząsnął mną ten eneh-giczny, znieciehpliwiony rzut stickiem. Czułem, że to jest moje szczęście i przeznaczenie.

Uwierzyłem, że dlatego zgubiłem sygnet, dlatego pojechałem statkiem, a nie koleją, jak zwykle.

"Bolo" rozpromienił się zupełnie, a pani Ryta dodała:

— Podobał mi się złotowłosy paż na tle jeziora. Ponieważ widziałam, że sam nie znajdzie sposobu, aby ze mną mówić, musiałam zbudzić go z zadumy.

„La forza del Destino" spełniło się w najpewniejszy sposób — siłą bata! Metoda z mężczyzną najlepsza!

— Niebezpieczna — rzucił Stanisław.

— Dla kogo? Mężczyzny, czy kobiety?

— Dla metody!

— Ot! — Małgosia przemyśliła.—Słuchaj! coś powiem: najlepsza metoda — to nasza stara, metoda całusa! Nie pocałuj ty jego — on ciebie, a i z metody nic nie

wyjdzie mądrego!

— A najdziwniejsze jest jeszcze to — mówił, jakby nie słysząc ogólnej rozmowy

Bolo, — że kiedyś, pewna, bałdzo ciekawa i zdolna chiho-mantka powiedziała mi:

strzeż się kobiety, któhą

poznasz w niespodziewany sposób. Ja temu nie wierzę, bo jestem szczęśliwy!

— A la bonne heure! — zaśmiała się Ryta.

W tej chwili podano pani Jadwidze depeszę, przeprosiła towarzystwo, rozerwała i

rzuciła wzrokiem. Spojrzawszy zaczęła ją śpiesznie składać, chowając do pięknego woreczka, wychyliła stojący kieliszek wina i stała się jeszcze bardziej ożywioną i wesołą, aż wszyscy spojrzeli z pew-nem zdziwieniem w jej stronę. Gdy wstano od stołu, przechodząc do salonu siadła przy fortepianie i wzniosła głowę ku górze, jakby szukając pieśni mogącej dać wyraz uczuciom. Uderzyła kilka akordów i wstała. Wymówiwszy się bólem głowy zeszła do ogrodu. Pomimo lat dojrzałych dziwnie młodzieńcze wzruszenie ogarnęło Grotowskiego, gdy zbliżając się do jeziora, ujrzał zdaleka wysmukłą sylwetkę kobietą. Usposobienia pogodnego, raczej lekkiego, pociągała go zawsze w kobiecie przede wszystkim pewna, spokojna harmonja i łagodność, co uderzyło go też w pięknej pani od pierwszych zaraz chwil poznania. Nie umiał i nie chciał w życiu nigdy odmawiać sobie czegoś, czego zapragnął, choćby chwilowo; dlatego znalazł sposób, aby zawrzeć znajomość z Jadwigą, a następnie przejść do roli towarzysza podróży. Ponieważ jednak uciekał zawsze przed skomplikowaniem, a tymwięcej przed każdym nawet szczegółem,

mogącym sprawić przykrość — lub ból, postanowił trzymać się zwykłej swej zasady — stawiania wszystkiego na jedną kartę w sprawach uczucia i dlatego prosił Jadwigę o chwilę rozmowy. Pomimo, że widzieli się niedawno, mimowoli wyciągnęli do siebie ręce i przez chwilę stali milcząc, na tle cudnego krajobrazu. Pierwsza Jadwiga usunęła dłoń i

chcąc uśmiechem pokryć wrażenie zaczęła wesoło dopytywać się o powód tajemniczego spotkania, zajęta pilnie zrywaniem jakiegoś liścia. Gdy Grotowski nie odpowiadał, zwróciła się w jego stronę i widząc zamyślony wyraz oczu spytała znowu:

— Co pan myśli?

— Że panią kocham!—powiedział mimowoli.

— Dlaczego pan to mówi? Pamiętam doskonale teorje pana, że słowo to się rzuca

zawsze młodej kobiecie—tak, na wszelki wypadek! A nuż się uda!

Nieostrożny pan

był odsłaniając swe poglądy.

Stanisław stracił głowę przez chwilę. To — że właśnie ona mogła go posądzać o

zwykłą pogoń za wrażeniami i zabawą, było mu nieznośne w tej chwili.

— Pani Jadwigo! Co pani mówi? Co pani mówi? przyznaję głupio zrobiłem, głupio

przedewszystkiem właśnie dlatego, że zupełnie prosto z serca padło słowo. Co

jest bardzo szczere i prawdziwe, wydaje się czasem sztuczne. Pani mi nie wierzy?

Dobrze, nie powtórzę tego słowa

więcej, tylko proszę, proszę niech pani nie przypuszcza, że mówiąc — myślałem o

zewnątrznym efekcie!

Jadwiga w milczeniu słuchała, ale czuła że słowa są prawdą.

— Proszę pani, ja nie chciałem powiedzieć pani jeszcze tego słowa, i to byłoby

właśnie pewnym uplanowaniem, taktyką, ale gdy pani nagle mnie zapytała —

wymówiłem mimowoli, gdyż o tym myślałem.

— Pani Jadwigo — mówił dalej biorąc jej rękę — proszę mi odpowiedzieć tak szczerze, jak ja pytam, i proszę odpowiedzieć odrazu, bez pozy i dyplomacji, prędko! Czy mam jeszcze w Ouchy pozostać i czy pani będzie to miłe?

Nie odbierała rąk, które całował, ale milczała ciągle, więc mówił jeszcze:

Widzi pani, we mnie nie ma nic z cichego bohatera wzdychającego do ideałów

niedoścignionych, czuję że tutaj przy pani mogłyby się obudzić we mnie uczucia

zbyt różne od tych, które przeżywałem dotąd, zbyt poważne i dlatego nie chcę

pozwolić, aby mną owładnęły tak silne, że odejść później — mogłoby być bardzo

ciężko! Może takie stawianie kwestji uczucia wyda się pani egoistyczne i

brutalne, ale w gruncie rzeczy — jest tylko proste i uczciwe.

Jadwiga spojrzała wzrokiem zmieszanym i bezradnym na Grotowskiego i rzekła:

— Mój narzeczony przyjeżdża jutro!...

Stanisław stał chwilę cofnąwszy się gwałtownie — a potem, nie mówiąc ani słowa i

nie żegnając Jadwigi począł iść w głąb ogrodu.

### III.

Stanisław rozstawszy się w sposób tak nie licujący z jego wychowaniem, dążył do

hotelu, nagle zatrzymał się, siadł i przemyślał, jak zakończyć ten wielce miły

epizod i... wyjechać.

— Jeśli faktycznie ma narzeczonego — tem lepiej... finita la comedia myślał, — a



może tylko manewr niewieści? .. Sprawdzimy...  
Siedział jeszcze kilka minut, potem wracał nad brzeg. Było już ciemno. Po drugiej stronie majaczyły światełka w Evian, a na jeziorze ukazywały się światła zielonej, czerwonej, lub białej latarni parowców. Wieczór był pogodny i ciepły. Jadwiga pogrążyła się w zadumę i wbrew jej woli, a nawet oporu, w mózgu jej zaczęły przesuwać się, jakby kinematograficznie — wspomnienia przykre, bolesne pożycia z mężem pięknym, strojnym, bogatym, ale wielkim nicponiem, baronem inflandzkim. Nagle... usłyszała cichy głos za sobą:  
— Pani baronowo, przychodzę z ostatnią prośbą.  
— Ostatnią prośbą? — mimowoli powtórzyła.  
— Tak, mam nadzieję, że nie zostanie od-

mówioną; raz pani pójść do salonu i zagrać „Wiosnę”, którą tak cudnie grałaś, jako pożegnanie dla mnie.  
— Pożegnanie?  
— Tak, pożegnanie! Jutro o . rano opuszczam Ouchy!  
— Pan wyjeżdża? — głos jej zadrżał.  
— Tak jest!  
— Tak nagle?  
— Podług mnie — wcale nie nagle.  
— A... przyczyna tego wyjazdu?  
— La forza del Destino...  
— Wszak pan powiedział, że nie wierzy w przeznaczenie?  
— Pamięć panią zawodzi. Odpowiedziałem, gdy mię pani zapytała, czy w przeznaczenie wierzę — niewiem, zobaczę!  
— A gdybym poprosiła, nie zostałyby pan jeszcze kilka dni?  
— Czy w charakterze passe-lemps, aż do przyjazdu narzeczonego? dziękuję, jutro

rano stanowczo wyjeżdżam. A więc czy pani baronowa zagra „Wiosnę”?

— Zagram, z całą przyjemnością, ale nie na pożegnanie.

— W takim razie, może na przywitanie—narzeczonego?

— Ależ ja nietylko nie mam narzeczonego, ale go nigdy mieć nie będę.

Stanisław usiadł obok na ławce.

— A depesza? — zapytał.

— Od brata z życzeniami imieninowemi, opowiadanie zaś o narzeczonym, było

właściwie tylko... ballon d'essai!

— Ballon d'essai, czego?

— Proszę domyśleć się!

Stanisław ujął ją za rękę, pocałował raz z wierzchu, dwa razy w dłoń, zatrzymał

w swojej ręce, — nie odebrała.

— Więc narzeczony był wytworem fantazji, mytem?

— Powtarzam: narzeczonego nie mam i nigdy, podkreślam nigdy, nie będę miała.

— Nigdy?

— Tak, przenigdy, raz byłam zamężną i to się nie powtórzy.

— A jednak przeznaczeniem kobiety jest — kochać, być żoną i matką.

— To też ja to przeznaczenie już spełniłam: kochałam, byłam żoną, jestem matką,

zresztą jest to przestarzałe pojęcie, jak pan nazywa —

„mamotatyczne” — można

kochać i nie zostać żoną. Te, nazywane przez wielu złote więzy małżeńskie, są

nieraz chińskimi drewnianymi dybami, a małżeńskie łoże rzekomych rozkoszy —

madejowem łóżem cierpień i boleści...

— Widzę, że pani nie była szczęśliwa — przerwał, ściskając i całując przeciągle

jej rękę.

— Niestety... — mimowoli westchnęła — ale, a propos, żona pańska jest skończoną

pięknością? Ale czy nienależałoby wracać do hotelu?

— Jesteśmy przecież w hotelu... a mąż pani baronowej był piękny?

— Właściwie jesteśmy tylko na terytorjum hotelu... mąż mój był bardzo przystojny

i presentable.

— Służę pani baronowej — wstał, podał jej ramię i dążyli do hotelu.

— Rozmowę naszą musimy wyczerpać, choćby jutro, czy pan zostanie?

— Dla wyczerpania rozmowy?

— Przez pana zaniedbuję obowiązeki matki, niewiem co się dzieje ze Zbyszkiem.

Prowadził ją wolno. Po chwili wyjął rękę znajdującą się pod jego ramieniem i

ściskając lekko zapytał:

— Czy mam zostać?

— Jak pan chce!...

Odpowiedź ta nie zadawała go, wyrażała bowiem pewną indyferentność, szych

konwenansowy, ale Stanisław, wytrawny kobieciarz pytał:

— Jak mam to rozumieć: — wszystko mi jedno—może pan zostać lub wyjeżdżać, nic

mnie to nie obchodzi! czy też, po "chcesz" mam postawić znak zapytania?

— Czy pan uwziął się na mnie? za co mi . dokuczasz? Nie spotkałam jeszcze

takiego czło-

wieka, chce mnie zmusić, żebym... żebym prosiła... — głos jej drgnął, zbierało

jej się na płacz. Stanisław, całując jej rękę, szeptał:

— Zostanę, i to tak długo, aż mi pani powie — wyjeżdżaj!

Walka toczyła się w duszy Jadwigi. Jakaś nieprzeparta siła ciągnęła ją do niego

— nie była to jeszcze miłość, nie było pożądanie, nie mogła zdać sobie sprawy,

jakie uczucia ją opanowały Przechyliła głowę i cicho rzekła:

— Ja ci nigdy nie powiem — wyjeżdżaj! Chciał ją pocałować, ale usłyszał szelest

i głos:

— Przecudny wieczór, ale jesień zaczyna wchodzić w swoje prawa — mówiła słodkim

głosem pani Kon i zawołała:

— Grażyna, Grażyna! Państwo dawno w ogrodzie? nie widzieli mojej córki, Grażyny?

Gdzieś mi się zawieruszyła, Jezus Marja, co ona zawsze narobi mi niepokoju.

Wróciłam z miasta przed chwilą, przywiozłam całą masę nut do śpiewu na baryton.

Specjalnie dla pana inżyniera. Musi pan nas czarować swoją pieśnią.

Wie pani

baronowa, że tą o tym niewolniku, to ja nie mogę zapomnieć, a pani konsulowa,

która tylko raz jeden ją słyszała, ciągle o niej—no, rozumie się i o wykonawcy —

mówi, aż pan konsul irytuje się. Bo wy, mężczyźni, to jesteście tacy zazdrośni!

Ja bo mojemu mężowi nie pozwalałam być zazdrosnym,

gdzie ta Grażyna? — Jezus Marja, jak ta dziewczyna mnie zaniepokoiła!

Wchodzili po kilku stopniach do hotelu. Słyszać było muzykę, ktoś grał na

fortepianie. W salonie siedzieli Koreyszowie, Sangajło, konsulostwo i jakaś

chuda, o wyglądzie dymisjonowanego z powodu starości, bociana-roznosiciela,

Angielka. Na fortepianie grała Grażyna.

— Bój się Boga, Grażyna — mówiła pani Kon — coś ty mi strachu narobiła, co ja się ciebie naszukałam.

— Ja, pani matko, ciągle byłam w salon de lecture — odpowiedziała, wstając od fortepianu.

— A gdzie Mirosław? Jezus Marja, co wy dzisiaj wyrabiacie!

— Mirosław gra, pani matko, ze Zbyszkiem w młynka.

— Może pani bahonowa tu pozwoli — rzekł Koreysza, wstając. Jadwiga siadła obok Ryty, Stanisław stał, Sangajło wskazywał mu giestem ręki miejsce obok siebie. Tymczasem pani Kon podeszła już z konsulstwem i przedstawiała.

— Pan inżynier pozwoli, aby go prosić o jego czarujący śpiew? — przemówiła konsulowa, trzymając przy palących oczach złote face-a-main. Wymowa jej była bardzo z francuska.

— Słyszałem, że inżynier rzeczywiście czahująco śpiewa — przerwał Koreysza — czy mogę i ja phośbę dołączyć?

Jadwiga spojrzała prosząco i to zadecydowało. Grotowski zbliżył się do fortepianu, przy którym już rozsiadła się w natchniono-wyczekującej pozie pani

Kon. Zaczął przeglądać plikę nut dostarczonych.

— Prosimy o niewolnika! — zawołała Ryta.

— Są tu nuty — chwaliła się pani Kon, — właśnie przyniosłam, ja zaakompanjuję — i nie czekając — zaczęła grać.

Słowa były francuskie, akompanjament okazał się rzeczywiście bez zarzutu i

Stanisław, patrząc w oczy Jadwigi, z jeszcze większą mocą uczucia śpiewał.

Wszyscy, bez wyjątku, byli pod wrażeniem głosu i dziękowali, a Jadwiga rzekła:

— Przeszedł pan wszystko, co dotąd słyszałam!

Pocałował jej rękę i szepnął jaknajciszej:

— Bo to tylko dla ciebie!

Ale ona usłyszała. Pani Fiferstein przylepiła się do Jadwigi pełna zachwyków,

które potoczyście płynęły we francuskim języku, i jeszcze prosiła Grotowskiego o

śpiew.

Pani konsulowa urodziła się we Francji, jej dziadek, Cytrynnik, wnuk i syn

arendarza z pod Białegostoku, uciekł przed poborem wojskowym do Francji, tam się

dorobił pieniędzy, a jego syn, ojciec pani konsulowej, był już bardzo poważnym

bankierem, zmienił nazwisko na (Citron) Sitron i, rozumie się, był chrześcijaninem. Dymisjonowany bocian okazał się wielką

znawczynią muzyki.

to Angielka, lady Mathiewa, która przysłuchiwała się z rozanieloną miną i

poznała się z całym towarzystwem. Grotowskiego wszystko to denerwowało i

gniewało, nie mógł wytrzymać — pożegnał zgromadzonych i wyszedł.

Nazajutrz, koło dziesiątej rano zaczęto się schodzić przy stoliku.

Wszyscy byli

zdziwieni nadzwyczajną dekoracją kwiatową.

Stanisław po bezsennej nocy był bardzo blady. O -ej rano dążył już do kwiaciarni zamówić olbrzymi bukiet najpiękniejszych róż, do którego

przypiął

bilet:

Stanisław — w dniu imienin.

Kazał o 1-iej rano zanieść baronowej, jak również udekorować stół, co wykonano

po mistrzowsku. Baronowa, wychodząc z pokoju na śniadanie,  
spotkała chłopca z  
bukietem. Przeczytała kartkę i uśmiech wykwitł na jej ustach, a gdy  
zastała stół  
ukwiecony, roześmiała się radośnie:  
— Pan pamiętał o moich imieninach?  
— Narzeczony pani przypomniał mi o tem! Pogroziła mu lekko.  
Grażyna, oglądająca  
stół udekorowany z bliska, usłyszała i zaraz pobiegła do pani matki,  
obwieścić o  
imieninach baronowej.  
Telefon zaczął jęczyć do Genewy i do miejscowej kwiaciarni; w pół  
godziny do  
pokoju baronowej przyniesiono olbrzymi kosz kwiatów z biletem  
wizytowym:

Z Karmazynów  
Wiesława-Marja Kon-Konecka  
Łódź, ulica Piotrkowska, dom własny.

W dwie godziny potem przysłano z Genewy przez umyślnego  
posłańca dwa ogromne  
pudła cukierków najlepszych, jakie cukiernie szwajcarskie wyrabiają,  
jedno  
większe dla baronowej, drugie dla samej cukrodawczyni — Konowej.  
Ale i Stanisław zastał w swoim pokoju wielkie bukiety. Przy jednym  
bilecik:  
Wielbicielka cudnego pieśniarza! a przy drugim... — "Penchant".  
Uśmiech zjadliwy, czy złośliwy przebiegł mu po ustach...  
Limał sobie głowę, jakby z Jadwigą pomówić. Nakoniec udało mu się,  
jak na lunch  
przyszła, gdyż on sam był przy stoliku. Uprosił ją aby zabrała  
Zbyszka z boną i  
po lunchu pojechała z nim do Vevey, Genewy, czy Nyon. Zgodziła  
się. W pół

godziny po lunchu mieli wyjechać statkiem. Tymczasem zebrało się całe

towarzystwo przy stole. Podczas drugiej potrawy do stołu podszedł boy, mówiąc:

— Pana inżyniera prosi do telefonu Caux. Stanisław poszedł.

— Hallo! — wołał.

— To ja Iza, urządzamy dużą wycieczkę co Chamonix, względnie na Mont-Blanc, może

zechcesz przyjąć udział? I może która z pań zechciałaby pojechać?

zaproponuj i

daj znać za godzinę.

Gdy Stanisław wrócił Jadwiga i Ryta pytały\* go wzrokiem.

— Cóż inżynierze, może rendes-vous przez, telefon? — pytał Sangajło.

— Tak i to z własną żoną! Proponowała mi abym przyjął udział, jak również

zaprosił moje towarzystwo na wycieczkę do Chamonix ewentualnie na Mont Blanc.

— A może pojechalibyśmy, — wtrącił Bolo do żony.

— Zdaje mi się, że to trochę zapóźno, jesień już zimna — odrzekła Ryta,

Po lunchu zerwała się wichura i nastąpiła, ulewa, o wyjeździe nie mogło być

mowy. Stanisław zatelefonował do Caux, że z wycieczki rezygnuje.

Przed -ą

towarzystwo opóściło salon; wkrótce zerwała się burza, taka specjalna, jesienna,

szwajcarska. Stanisław przebrał się w nocną pidżamę, otworzył okno i wpatrywał w

nieustające zygzaki piorunów i błyskawice oświetlające szczyty gór i bałwaniące

się wody Lemanu. Siedział myśląc początkowo o Warszawie, gdzie miał piękny dom,

i o interesach fabryki, której był współwłaścicielem, nawiasem mówiąc nietylko



szanowanym, ale i uwielbianym przez robotarzy, za wysoką humanitarność i pewnego odcienia socjalizm. Potym myśl jego cofnęła się wstecz i stanęły mu w pamięci różne przygody miłosne, uśmiechnął się i..... zaczął myśleć o Jadwidze, złorze-

cząc ulewie, która pokrzyżowała projekt wycieczki. Wtem usłyszał lekkie pukanie i weszła pani Kon, podbiegła, schwyciła go nerwowo za obie ręce i drżącym głosem szeptała:

— Proszę mi wybaczyć to najście!.... Ale ja się tak strasznie boję burzy!...

— Cudowna! — przerwał. — Właśnie podczas takiej Wilhelm Tell uciekł z łodzi! — zażartował.

— Sama nie wiem co się ze mną dzieje\_\_ jestem jakby nieprzytomna, nerwowy lęk mnie ogarnia.... Patrz pan jak mi strasznie bije serce, mówiąc to przyłożyła rękę Stanisława do lewej "kary bożej".

Była ubrana w turkusowe kimono z lekkiej japońskiej tkaniny, Stanisław uczul pod ręką jędrne, twarde, ciepłe ciało i rzeczywiście bardzo przyspieszone tętno.

Pani Kon, jak wiemy, była bardzo przystojną świeżą i apetyczną kobietką, tylko

tytaniczny biust psuł jej kształty, z drugiej jednak strony, ta tak dziwnie

jędrna pierś — zaciekawiała go, nie odjął dłoni i szeptał:

— Rzeczywiście serce pani bardzo pospiesznie bije, ale jak można było tak się

narażać.... noc.... co dzieci pomyślą? A jeśli kto panią widział?

— Dzieci śpią, jak zarżnięte..... moje pokoje

są w zakręcie korytarza.... bardzo blisko.... Jezus Marja, jak ja się  
boję! —  
przytuliła głowę do jego ramienia.

— Niech się pani uspokoi, tu niema najmniejszego  
niebezpieczeństwa, zresztą  
burza już cichnie ..  
Odurzający zapach wykwintnych perfum, strzeliste oczy wpijające się  
w niego, i  
ciepło lekko drżącego, młodego ciała, nieżartem zaczęły działać.....  
Wszak był on tylko — człowiekiem.... Objął ją i przygarnął.....  
Ona przyciskała coraz mocniej jego dłoń do bijącego serca i wpatrując  
się coraz  
natarczywiej w jego oczy, szeptała:  
— Ja muszę być także z rodu Selimów, co to z miłości umierają!  
Stanisław nie wytrzymał, objął ją i rozchylił kimono, była pod nim  
tylko  
jedwabna, również turkusowego koloru koszula. "Kara boża" au  
naturel, nie była  
tak potworną jak udekorowana. Pani Kon pospiesznie oddychając,  
szeptała:  
— Błagam..... nie nadużywaj pan mego zaufania.... jestem bezbronna,  
Jezus  
Marja!..... nie, nie,  
nie..... pamiętaj, że ja mam męża..... nie, nie....  
zresztą... tout exepé ça, nie, nie!  
Udawanie oporu było niewielkie, albowiem jednocześnie głąskała  
rączką jego  
ciało, wreszcie wgryzła się w jego pierś.  
W kilka minut potym Wiesława Marja dwuimion Konowa,  
przykładała chusteczkę  
napojoną kolońską wodą do piersi Stanisława, — którą w erotycznej  
ekstazie  
pogryzła i z której teras

broczyła się krew odkupienia rogów Hipolita ci  
devant Izydora czy Moritza.....

Całowała i pieściła Stanisława, szepcząc:

— O mój cudny, nigdy nie zapomiany.... wybacz, daruj, że cię tak  
skrzywdziłam,  
ale to z wielkiej miłości.

Wymknęła się pocichutku, ale z tryumfalnie podniesioną głową i  
skradając się do

swej sypialni złośliwie uśmiechała się i myślała:

— Nie twój, dumna baronowo, wstrętna żmijo, ani nie twój, litewsko-  
białoruska

malowanko, — ale mój, mój jest Stanisław.

A on leżąc, tamował sączące się jeszcze kropelki krwi i myślał:

— Jestem skończona małpa! POCO ja to zrobiłem? Ale właściwie  
dlaczego ja

jestem małpa? Cóż to wielkiego, nie można jej było wypędzić, należy  
być

gościnnym dla dam, prawdziwym gentlemanem... ale temperamencik,  
psia krew,

pogryzła mnie, jak wściekła pantera! A wszystkiemu winna aura...  
ulewa nie

pozwoliła jechać z Jadwigą, a burza nabawiła Konową strachu, no —  
a co dalej?

Furda Stasieczku! Sztukę mięsa wał, Pana Boga chwal! jak mawiał  
nieboszczyk

stryj. Ale, ale, zamknijmy drzwi, żeby pani Konowej nie przyszło do  
głowy: bis

repetita placet!

Wstał, przekręcił klucz, wrócił do łóżka, odwrócił się do ściany i  
usnął.

Nazajutrz całe towarzystwo przy stole baronowej już kończyło  
śniadanie, a pani

Kon dopiero

zeszła do sali jadalnej. Zbliżyła się i uprzejmie powitawszy wszystkich — przysiadła się.

— Jak panie się czują po nocnej burzy? Bardzo się panie bały? — zapytała.

— Ja nie obawiam się burzy — odpowiedziała Jadwiga.

— Ani ja — dodała Ryta.

— Mnie tylko od czasu do czasu budziły piovuny. — przemówił Bolo.

— Panie Stanisławie — zwróciła się pani Kon do Grotowskiego — proszę po śniadaniu zagrać ze raną na cztery ręce; mam kilka słów panu do zkomunikowania—

dodała z czarującym uśmiechem. Ale, ale, otrzymałam list od męża, ja mu dużo

pisałam o panu, panie Stanisławie. Hipolit zna pana doskonale, byliście razem w

pierwszych klasach gimnazjum. Pan nie pamięta?

— Owszem, przypominam sobie, byłem w szkołach nawet z dwoma Konami, ale obaj

pisali się: C-o-h-n, jeden miał imię Izydora, drugi—Morytza...

— E .. to pan nie pamięta, — wstała — ja zaraz prędko wypiję czekoladę i

pójdziemy panie Stanisławie grać, dowidzenia!

Jadwiga i Ryta, nawet Sangajło, byli mocno zadziwieni zachowaniem się i mową

pani Kon, Ryta złośliwie spytała:

— Czy to skutkiem burzy pani Kon mówi panu po imieniu? Stanisławowi błysnęła myśl czy Ryta nie widziała nocnej eskapady Konowej, ale

przypom-

niał sobie, że Koreyszowie mieszkają z drugiej strony hotelu — odrzekł więc:

— O takich właściwościach elektryczności nie słyszałem.

— Ot zwyczajnie nachalna żydówka, — przerwał Sangajło — chce dokumentować  
zażyłość i to, że jej mąż był kolegą inżyniera.  
— Prawdopodobnie familjarność wywołało to — mówił Grotowski  
poważnym, spokojnym  
tonem, — że z jej mężem byłem." w jednej klasie!  
— Także powód — a może? czort go wie? — żartował Sangajło. Ale  
inżynier nie bój  
się, wolałby być w jednej klasie z hrabią albo baronem? a nie z jakimś  
tam  
żydziukiem! nie prawda? ha? — Wstał — ale muszę was peżegnać,  
spieszę na pociąg,  
jadę do księcia Gedroycia.  
— A my musimy pisać listy; niedługo trzeba wracać do domu —  
przemówiła Ryta —  
dowidzenia.  
Jadwiga została przy stole ze Stanisławem, gdyż i bona ze Zbyszkiem  
poszła do  
ogrodu.  
— Czy pan pójdzie zaraz grać z panią Kon?  
— Albowiem?  
— Albowiem chciałam prosić żeby mi pan towarzyszył... do Genewy,  
jadę tam do  
modniarki,  
W tej chwili podbiegła Grażyna i dygając mówiła:  
— Pani matka poszła do fortepianu, czeka na pana Stanisława!  
— Proszę przeprosić Danią Kon — odrzekł

z odcieniem irytacji w głosie, — ale ja w tej chwili muszę wyjechać  
na kilka  
godzin.  
Spojrzał głęboko w oczy Jadwigi. Grażyna znów dygnęła — i odeszła,  
a on patrząc  
na zegarek, mówił:  
— Pociąg odchodzi za dwadzieścia osiem minut, a statkiem jedzie się  
bardzo

długo, przytem chłodno i pogoda niepewna — a proszę wziąć szal...  
Pojechali funikularą na dworzec i po kilku minutach pociąg wioził ich  
do Genewy.

Byli w przedziale pierwszej klasy którą nikt prawie nie jeździł —  
zupełnie sami.

— Dziwnie zuchwała ta żydówica, — zaczęła Jadwiga — narzuciła  
się nam ze swoją

znajomością, a teraz chce zawładnąć panem, to: panie Stanisławie  
nietylko jej

ale i Grażyny jest imponujące arogancją! Czy ona chce, żeby myślano  
iż ma jakieś

prawa do pana? Spojrzała badawczo mu w oczy.

Stanisław wytrzymał spojrzenie. Rozpiął jej rękawiczkę, odchylił,  
kilkakrotnie

pocałował rękę i nie wypuszczał ze swojej:

— Będę może zanadto szczerą i powiem, że od wczoraj Ouchy stało  
się dla mnie

mocno niesympatyczne. Z dniem przyjazdu pana było mi coraz  
przyjemniej, cieplej,

ale po moich imieninach skończyły się piękne dni Aranjuezu....

Najpierw mąż pani

Ryty wniósł ślimakowatość w życie naszego towarzystwa, pani Kon i  
konsulostwo

de-

nerwują mnie, a telefon żony pańskiej, nabawił mię niepokoju, ja nie  
wiem

czy.... nie należałoby.... abyśmy się... rozstali?

— Rozstali? — przerwał — rozstali? Słowo to jest dla mnie zupełnie  
niezrozumiałe... jak można powiedzieć naprzykład: należy nam

umrzeć — kiedy

wcale jeszcze żyć nie zaczęliśmy? Widzę, że pani rzeczywiście jest  
zdenewrowana,

jak można zwracać uwagę — na ślimaka Koreyszę, Konową,

konsulową i nakoniec

zwykły telefon mojej żony?

— Właśnie on otrzeźwił mię przypominając, że pan należysz do niej i nie powinnam

być tak blisko pana...

— Nie należę ani do mojej żony, ani do żadnej innej kobiety, —

zaczął mówić

zirytowanym głosem—jedyną kobietą do której mógłbym należeć całą duszą i ciałem

jesteś ty pani! Czy wypowiedziane słowa mają znaczyć abyśmy nie znali się — nie

poznawszy się? Nie bądź okrutną i nie pastw się nademną!

Powiedział to z taką mocą i był tak piękny w swoim gniewie, że nie wytrzymała,

zdawało jej się, że go nie kocha, że go nie pożąda, a jednak w tej chwili

nadstawiła mu usta—i utonęli w długim obłądnym pocałunku.

Stanisława

przechodziły pałace dreszcze, opanował się całą siłą woli.

— Dojeżdżamy do Genewy—na której ulicy mieszka pani modniarka?

Ona przykryła powiekami oczy.

— ja nie mam w Genewie modniarki... chciałam tylko z panem szczerze pomówić i

użyłam podstępu...

Stanisław chwycił ją w objęcia, całując bez liku. Pociąg stanął przed dworcem

genewskim, przeszli do samochodu. Pogoda była pochmurna chłodna, otulił ją owym

ponsowym szalem i wyrzekł z zachwytem:

— Jakaś ty piękna! jakaś cudna!

— Ilu kobietom powtarzałeś pan te wyrazy? Stanisław przygryzł wargi i syknął:

— Okrutna!

Ale uczuł uścisk ręki i ujrzał ponętny uśmiech. Zatrzymał samochód przy moście

des Bergues i po nim przeszli na wysepkę Rousseau.

— Ilekroć jestem nad Lemanem — mówił — zawsze składam hołd  
temu jednemu z  
największych myślicieli i reformatorów, a stojąc tu w obliczu jego  
posągu,  
patrzę na te pływające białe i czarne łabędzie i myślę: byłeś mężem  
białym —  
robiono cię czarnym, kat spalił tu — w mieście rodzinnym twoje  
buntownicze  
dzieła... a teraz? Stoisz dumny, brązowy! Parlament w Paryżu skazał  
cię żywego  
na więzienie — a zmarłego pochował w Panteonie i z trumny  
wyciągnął twą brązową  
prawicę, dzierzącą pochodnię światła.  
Jadwiga słuchała Grotowskiego i rzekła:  
— To: życie i jego ewolucje, a Joanna d'Arc? Biskupi spalili ją jako  
czarownicę,  
a potem kanonizowali jako świętą.

Po chwili wyszli na bulwar des Bergues, Stanisław kupił ręczną  
walizkę, woreczek  
siatkowy i składaną wędkę, dwa pudła cukierków i paczkę ciastek,  
część poszła do  
walizki, część niósł oddzielnie.  
Jadwiga dziwiła się co to znaczy!  
— Wkrótce wytłumaczę,— śmiał się,— a teraz chodźmy na obiad.  
Udali się przez wspaniały most du Mont Blanc do hotelu Metropole.  
W westlibulu  
poprosił aby Jadwiga usiadła, ułożył przy niej paczki, a sam rozmówił  
się z  
portjerem. Wynajął pokój i zapisał się do księgi hotelowej jako Grot z  
żoną,  
potem chłopak zabrał pakunki i zaprowadził ich do numeru.  
— Proszę przysłać garsona, będziemy jeść obiad w pokoju —  
dysponował.  
Chłopak wyszedł, a Grotowski zaczął całować każdy paluszek  
Jadwigi i mówił:



— Ta walizka i paczki...  
— Doskonale rozumiem—przerwała —miseen scene, aby mnie  
ochronić od złośliwych  
podejrzeń, jest pan wysoce subtelnym, no i... doświadczonym.  
Wkrótce zasiedli do wspaniałego obiadu, Stanisław kazał zamrozić  
White Star.  
Nastrój Jadwigi przy obiedzie zmienił się, posmutniała, ale  
doświadczony  
towarzysz nalał szampana i wznosząc paterkę — zawołał.  
— Za nasze przyszłe dni jasne, złotopromienne!

Tracili się kieliszkami, on nie był natrętnym, natarczywym,  
przeciwnie—  
delikatnym, pocałował ją poważnie w rękę i dolewał wina.  
White star ma własności meljoracyjne humoru, wkrótce Jadwiga  
zaczęła być  
weselszą i mówiła:  
— Nigdy nie przypuszczałam, że będę uczestniczką takiej eskapady.  
Wchodząc do  
tego pokoju, pierwszą moją myślą było — cofnąć się, ale trzeźwy  
rozsądek jednak  
wyrzekł: Zapóźno! To mi zepsuło nastrój, ale już przeszło... Nawet  
świadomość  
występku...  
Stanisław wznosił kieliszek i przerwał:  
— Na cześć i pamięć Wiktora Emanuela II-go  
Jadwiga roześmiała się, wypiła i podała mu usta.

\* \* \*

W godzinę potym siedzieli, trzymając się za ręce, ona pochyliła głowę  
na jego  
ramię i mówiła.  
— Byłam bardzo nieszczęśliwą i zawiedzioną w małżeństwie, te złote  
więzy stały

się kajdanami i moralną torturą, wyszłam bowiem za mąż z miłości—i  
w krótkim  
czasie zostałam sponiewieraną i upokorzoną mąż i obowiązkowa  
miłość stała się  
wstrętną... może wolna — zaświeci mi jasnym, pogodnym życiem, bo  
ja cię  
kocham... Zawzięcie walczyłam z sobą uważając naszą znajomość za  
flirt sezonowy,  
odpychałam, tak zwane

nieuczciwe myśli... A jednak,—dokończyła szeptem — nie zdołałam  
oprzeć się,  
Grotowski naprawdę wzruszony, objął ją, okrywał pocałunkami... i  
znów przeszła  
godzina pieszczot i uniesień, podczas których musiał starannie  
ochraniać zbyt  
świeże dowody temperamentu pani Kon. Ale... wszak to życie i jego  
ewolucje!  
Zdecydowali, że Jadwiga wróci do Ouchy, on zaś przyjedzie  
nazajutrz. Opuszczając  
pokój, Jadwiga mówiła:  
— Gdyby mi kto powiedział podczas drogi w Symplońskim tunelu, że  
dojdzie aż do  
takiego zakończenia!... — Ależ to jest właściwie dopiero początkiem,  
— przerwał Stanisław.  
— Proszę nie przerywać... nie tylko nie uwierzyłabym, ale byłabym  
bezgranicznie  
obrażoną...  
a jeszcze nie zdaję sobie sprawy dlaczego się to stało.  
On przycisnął ją do siebie i całując aż do bólu jej usta, wyszeptał:  
— To: "La forza del Destino" — w które zaczynam teraz wierzyć!

List otwarty do Uroczych Czytelniczek.

W chwili gdy ukończyłem pisanie tej noweli opanowała mnie  
niepohamowana  
ciekawość: jakby ją zakończyła kobieta?  
Myśl ta nie dawała mi spokoju „chodziła za mną”... postanowiłem  
spróbować  
zaspokoić ją — i zwróciłem się do jednej z bliższych znajomych  
młodych dam,  
wysocie inteligentnej, z prośbą, aby dorobiła zakończenie do mojej  
noweli, według  
swoich poglądów i zapatrywań na życie. Po wielu prośbach Pani B.  
Wodzińska  
zgodziła się, dałem jej rękopis rozdziałów, nie wspominając, że -ty to  
jest  
zakończenie, już napisałem.  
Po otrzymaniu od autorki zakończenia, przyznałem się do mistyfikacji  
i  
otrzymałem... wspaniałomyślne przebaczenie. Tym sposobem  
powstała nowela o dwu  
zakończeniach,—może dziwoląg, a może coś oryginalnego...  
Zdawałoby się, że nareszcie moja ciekawość zaspokojona. Gdzietam...  
Zrodziła ona  
córeczkę imieniem również Ciekawość: które zakończenie znajdzie  
więcej  
zwolenniczek?  
W obecnej dobie i modzie plebiscytów, upraszam Was, Urocze  
Czytelniczki, aby po  
przeczytaniu powiastki, każda zechciała zaspokoić tę pożerającą mnie  
ciekawość,  
zawiadamiając, którego zakończenia jest zwolenniczką...  
Wasz niezmienny wielbiciel  
Sierpień . Gamason.

#### IV.

Pani Kon była w jaknajgorszym usposobieniu i miała ku temu kilka  
powodów; po

pierwsze: gdy w salonie oczekiwała przy fortepianie na Grotowskiego, wróciła  
Grażyna z wiadomością, że on zaraz wyjedzie na kilka godzin;  
powtóre: gdy potem  
poszła do swego apartamentu, natychmiast za nią ukazała się pokojówka i podając jej bardzo wykwintny grzebień do upinania włosów z jasnego szyldkretu, mówiła:  
— Znalazłam pani grzebień w łóżku pana Grotowskiego.  
— Mój grzebień?! ależ, to być nie może, to nie mój — odrzekła z niepokojem.  
— Ale pani, z pewnością pani, to ten, któremu niechcący wykruszyłam w przeszłym tygodniu koniec jednego zęba — i pani się tak gniewała... Pani Kon wzięła grzebień do ręki. Nieprzyznawanie się do własności, mogło mieć jeszcze gorsze następstwa; położyła go przeto na toaletę i dała dziewczynie trzy dwudziesto - frankówki, mówiąc:  
— Nie rozumiem, doprawdy, jakim dziwnym sposobem znalazł się on w pokoju pana Grotowskiego.  
— W łóżku — poprawiła pokojówka.  
Pani Kon dała jej jeszcze dwa „ludwiki” znaleźnego.  
— Merci madame — rzekła dziewczyna i wyszła ze złośliwym uśmiechem.

Złote „ludwiki” obowiązywały do milczenia, to też dziewczyna o zdarzeniu opowiedziała tylko — i to pod największym sekretem — swojej przyjaciółce, pokojówce z niższego piętra; ta zaś zwierzyła się, na święte słowo dochowania tajemnicy, jedynie, zarządzającej bielizną, starszej i bardzo poważnej osobie.

Pani Kon, dla skrócenia czasu oczekiwania na powrót Stanisława, pojechała funikularą do Lozanny, zwiedziła kilka sklepów jubilerskich—i w jednym nabyła złotą papierośnicę; poleciła ozdobić ją monogramem S. G. z koroną szlachecką i wewnątrz wyryć kółko, w nim datę burzy i wylatujące zygzaki piorunów, a pod tym rysunkiem napis: — Od Wiesi. Jubiler zobowiązał się robotę wykonać w godziny i przysłać nazajutrz przed południem do hotelu. Pani Kon wróciła na lunch, do Ouchy i oczekiwała Stanisława, a gdy do późnego wieczora nie wrócił, humor jej do reszty się popsuł: posprzeczała się z konsulową, pogniewała na dzieci i zasnęła dopiero nad ranem. Obudziła się z migreną. Na śniadanie piła czarną kawę w swojej sypialni— i późno zeszła na dół; zbliżyła się do stołu, przy którym spożywali śniadanie Koreyszowie z baronową, przywitała uprzejmie i zapytała:  
— Co się stało z panem Stanisławem?  
— O ile mi wiadomo — odrzekła Jadwiga — pan inżynier Grotowski wczoraj został wezwany

telefonem, zapewne, przez żonę, i przed południem wyjechał.  
— Ale obiecał mi, że wróci za kilka godzin i niema go dotąd!  
— Phawdopodobnie zmęczony śpi — odezwał się Bolo.  
— Wcale go niema! Mirosław się dowiadywał. Nadszedł Sangajło.  
— Witam, witam — mówił — skończyłem moje kąpiele w Evian, będę, jak rydz!  
Wczoraj bardzo późno wróciłem od księcia Gedroycia i jestem niewypawszy się...  
ale powiem wam nowinę i to sensacyjną: poznałem u księcia całe to towarzystwo,

które było razem z nami w niedzielę na koncercie w Montreux:  
Potockich, Komara i  
panią Izę Grot-Grotowską.  
— A... żonę inżyniera — przerwała Ryta.  
— Tere fere kuku, strzela baba z łuku! Powiadam do niej: A my, z  
mężem pani,  
przepędzamy bardzo przyjemnie czas w Ouchy. Wielce to  
sympatyczny człowiek. A  
ona, jak pocznie się śmiać, aż się zanosi. Ot, figlarz inżynier! Taż to  
wcale  
nie jego żona, a stryjeczna bratowa. On kawaler, nigdy nie miał żony.  
Patrzajcie, jaki brygand, ha?..  
Jadwiga zbladła, Ryta posmutniała, a pani Kon zaczerwieniła się —  
wszystkie ze  
zdumienia.  
Zbyszko, który uważnie przysłuchiwał się, odezwał się:  
— Mamusiu, jeżeli pan Ogono kawaler, to

ożeń Się z nim, on taki dobry, i ja go bardzo kocham.  
— Zbyszku, co ty pleciesz — skarciła go matka — bądź grzeczny!  
— A przecież mamusia mówiła do pani Ryty, że pan Ogono podoba  
się mamusi, bo  
jest bardzo miły i dobrze zrobił, że tu przyjechał.  
Sangajło wybawił z kłopotu Jadwigę, mówiąc:  
— Po wczorajszym deszczu, rybki będą się dobrze łapać.  
Zbyszko zerwał się, podziękował za śniadanie i pobiegł do portjera po  
wędkę, za  
nim podążyła bona.  
Pani Kon nie wiedziała, czy się cieszyć z wiadomości, czy smucić.  
Nastąpiło  
chwilowe milczenie, które przerwała Ryta, mówiąc:  
— Ciekawe, dlaczego Grotowski mistyfikował nas?  
— Sądzę, że tak, bezcelowo — rzuciła Jadwiga.  
— Inżynieh pophostu zażahtował sobie z nas — dodał Bolo.  
Do jadalni wpadł, jak szrapnel Mirosław, mówiąc zadyszany;  
— Pani matko... pan... Grotowski... przyjechał statkiem... idzie... z

przystani... z paczkami...

Po chwili pani Kon wstała, mówiąc:

— Nie będę państwu przeszkadzać—i wyszła. Gdy Zbyszko zabierał wędkę, boy wręczył mu siatkowy woreczek, składaną wędkę, pudło

cukierków i paczkę ciastek, które przed chwilą oddał pan Grotowski z poleceniem,

aby odnieść. Uradowany chłopak, schwycił wędkę i siateczkę i wcał biegł do

matki, bona niosła za nim paczki.

— Mamusiu — wołał już na progu jadalni — patrz, co przywiózł pan Ogono! Jaka

śliczna wędka, a są i cukierki...

Matka, która wczoraj pilnowała tych paczek w westibulu Metropol, udała przyjemne zdziwienie.

— Mamusiu — prosił Zbyszko, całując, matkę — ożeń się z panem Ogono, on taki dobry.

— A to przekupił chłopaka — śmiał się Sangajło. — Przystał z tem swataniem.

Towarzystwo zaczęło rozchodzić się, Jadwiga jeszcze została.

Pani Kon doskonale wiedziała, że Stanisław nie pójdzie wprost na śniadanie, a

zajdzie do siebie, pobiegła więc na górę i oczekiwała, aby go przypadkiem

spotkać w korytarzu, czego i dopięła.

Stanisław zobaczył ją o kilka kroków od drzwi swego pokoju, powitał bardzo

uprzejmie i poważnie, ona, zatrzymując jego rękę szeptała:

— Co jest? Co się stało? Jezus Marja, jaka ja byłam niespokojna... całą noc nie

spiałam... Stanisławie, na miłość Boską, nie rób mi tyle niepokoju i trwogi.

Gdzie ty byłeś?

— W Genewie u konsula w bardzo ważnej sprawie.

— Jezus Marja, co się stało? chodź do mnie na kilka słów, tu w korytarzu mogą nas podsłuchać.

— Przepraszam, ale ja muszę przebrać się i zjeść śniadanie.

— No to dobrze, czekam punktualnie o -tej, dzieci nie będzie. Jakieś głośnie towarzystwo zbliżało się i pani Kon spiesznie odeszła. Grotowski

zabawił bardzo krótko w pokoju i zeszedł na dół, zastał Jadwigę jeszcze przy

stole, przywitał się konwencjonalnie i przemówił:

— Prosiłbym o chwilę poważnej rozmowy.

— Proszę przede wszystkim wypić śniadanie.

— Już to zrobiłem na statku.

— W takim razie zejdźmy do ogrodu nad jezioro.

Stanisław chwilę pomyślał i odpowiedział:

— Może mnie pani przyjąć u siebie?

— U siebie? dobrze, sądzę, że pokoje już sprzątnięte. Pójdę na górę zobaczyć, za chwilę proszę przyjść.

Stanisław wszedł do Jadwigi, był bardzo poważny, pocałował ją w rękę i usiadł obok.

— Przychodzę po długim i poważnym zastaowieniu prosić o pani rękę, jestem kawalerem, a Iza o której mówiłem, że jest moją żoną, to moja stryjeczna bratowa.

— Wiem o tem, rotmistrz ją wczoraj poznał u księcia Gedroycia i dzisiaj nam opowiadał o pańskiej mistyfikacji.



— Tem lepiej, — pocałował ją znów w rękę pytając:  
— A więc czy chcesz zostać moją żoną?  
— Nie,—odpowiedziała,—a wiesz dlaczego? Bo cię pokochałam szczerze,  
bezgranicznie, oddałam ci się nie z rozpusty lub nerwów, a z miłości,  
jestem i  
będę twoją, ale na małżeństwo nie zgadzam się — zanadto cię  
kocham, abym  
wkładała na ciebie nierozzerwalne więzy, mam już doświadczenie  
życiowe, dziś  
kochasz mnie, co będzie za rok a może i prędzej, kto wie? Po co ma  
nas wiązać  
przysięga, niech nas wiąże miłość, wzajemne zaufanie, przywiązanie,  
wspólna  
praca umysłowa i społeczna—i opieka nad niedolą, niech nam  
przyświeca gwiazda  
wolności w całej pełni.  
Objęła go i całowała długo...  
— Uwielbiam cię moja ukochana, jedyna, ale oprócz tego, że cię  
kocham, mam  
wielki szacunek, nie mogę przeto nie zwracać uwagi na Zbyszka, na  
otoczenie, to  
jest na to, co nazywamy światem... Nie możemy urządzić się tak, aby  
nasze  
współzycie było tajemnicą... zresztą oprócz praw państwowych  
istnieje kodeks  
towarzyski, obowiązujący ludzi naszej sfery.  
— Naszej sfery? — przerwała — I to mówi socjalista, wprawdzie z  
ciepłego pokoju  
z dywanem. Sfer niema, ludzie wszyscy są ludźmi jednej sfery.  
Zastanów się mój  
drogi przyjacielu, pomyśl, a dojdiesz do przekonania, że ja mam  
rację.

— Jeszcze jedno bardzo ważne, co będzie jeśli zostaniesz matką?

— W takim razie bezwzględnie poślubisz mnie. Żyjmy, Kochając się wolni. Mój stan majątkowy jest bardzo poważny, poważniejszy niż nawet ludzie przypuszczają, ty jesteś również bogaty, będziemy żyć szczęśliwi aż... dotąd, dopóki... szczęście się nie skończy — dokończyła wybuchając płaczem.

On ją tulił i pieścił, aż wreszcie uspokoiła się i przemówiła:

— A wiesz, że Zbyszko namawia mnie, abym wyszła za ciebie.?

— Zbyszko?

— Tak.

Opowiedziała mu propozycję chłopca.

— A teraz już idź, spotkamy się na lunchu, potem zakomunikujemy sobie projekty

przyszłego życie... Jeszcze jedna prośba: zagraj z Konową i bądź dla niej więcej

uprzejmy... to dla mnie lepiej, dobrze?

Stanisław przygarnął ją ścisnął, całował i wybiegł do ogrodu. Nawiał myśli

tłoczył się do jego mózgu; w rezultacie postanowił skończyć z

Konową i wyjechać

z Jadwigą, miał nadzieję, że sprawę jej zaślubienia załatwi jednak pomyślnie.

On, postępowiec socjalista pewnego rodzaju, nie mógł jednak

pogodzić się z myślą

życia "na wiarę" z Jadwigą.

— Muszę odczepić się od Konowej, pocom ja

tam wlaź... ale stało się... trzeba w przyzwoity sposób sprawę załatwić.

Spojrzał na zegarek, było kilka minut po -tej. Poszedł i zastukał do drzwi

Konowej. Wszedł;— właśnie przed chwilą jubiler przysłał

papierośnicę w

wykwintnym "etui" Rzuciła się na szyję gościa, co jej przyszło z wielką

trudnością, z powodu jej małego wzrostu, wpiła się w jego usta,  
literalnie

wisząc na jego karku.

Stanisław — pod ciężarem dość korpulentnej osoby — pochylił się i  
usiadł, musiał

jednak opanować nerwy... Konowa nakoniec przestała go całować,  
przypomniała, że

drzwi otwarte, podeszła i przekręciła klucz, wzięła „etui” i podając je  
Stanisławowi szeptała:

— Bądź łaskaw przyjąć tę bagatelkę odemnie na pamiątkę, ile razy  
otworzysz

przypomnisz sobie...

Stanisław otworzył futerał, zobaczył złotą bardzo cenną papierośnicę,  
nietylko

zawstydził się, ale przestraszył, nawet oburzył.

— Ja nie mogę przyjąć tego podarunku, pani wybaczy'...

— Jaka pani, co za pani? Stanisławie, Staśku, cudny, jedyny, dlaczego  
nie chcesz

mówić mi po imieniu .. proszę... ja ci każę mów mi Wiesiu.

Znów rzuciła mu się na szyję i wpiła w usta. Stanisław zaczął tracić  
moc

charakteru i oddawał pocałunki, objął Konową, gdy ktoś zapukał.

— Jezus Marja,— szepnęła — a kogoż tam djabeł przyniósł.

— Le facteur — odezwno się pod drzwiami.

Konowa zeskoczyła z kolan Stanisława, otworzyła drzwi.

Listowy przyniósł polecony list od męża, z przekazem pieniężnym.

Takich listów

nie zostawiano u portjera, odbiorca musiał kwitować osobiście.

Podczas

podpisywania w rewersale do pokoju wbiegła Grażyna mówiąc:

— Pani matko, pani konsulowa przysyła mnie dowiedzieć się, czy  
pani matka jest w

domu, ona zaraz tu przydzie; ma jakiś pilny interes.

— Idź do pani konsulowej, powiedz, że ja za pięć minut będę w  
salonie.

Grażyna wyszła, a pani Kon otworzyła papierośnicę i pokazując wewnątrz mówiła:

— Patrz Staśku, te pioruny jak żywe, to mój pomysł, no chowaj tą papierośnicę,

nie odmawiaj, jeśli mi choć trochę dobrze życzysz.

— Ależ ja nie mogę przyjąć takiego kosztownego podarunku.

— Kosztownego podarunku? Jezus Marja! co ty Staśku pleciesz, wielka mi rzecz

. franków, co jest? Wstydz się Staśku, czy ty jesteś jaki kantorzysta, żeby

taką bagatelkę nazywać kosztownym podarunkiem.

Znów całowała go szepcząc:

— Teraz nic z tego, muszę iść, chodźmy.

Stanisław położył papierośnicę na stoliku, Konowa zobaczyła to, wzięła i

przemocą wsunęła do bocznej kieszeni mówiąc:

— Staśku, jeśli mnie tak obrazisz i nie we-

źmiesz tą papierośnicę, to jak Hipolita kocham, zrobię straszny skandal na całe

Ouchy, skompromituję się, odchoruję — jak pragnę szczęścia dla siebie i dzieci.

Stanisław wściekły wyszedł razem z Konową na korytarz, ona zeszła na dół, on do

swego pokoju. Czuł jakby jakieś upokorzenie i na razie nie mógł nic przemyśleć.

Chodził nerwowo skubiąc wąsy gdy usłyszał dzwonek wzywający na lunch, rzucił

nerwowo etui z papierośnicą i od tej chwili postanowił nie palić tytoniu.

Postanowienie to jednak rozśmieszyło go. Podczas lunchu Ryta była bardzo

ożywiona i rozmowna. Skierowała rozmowę na damskie toalety, wychwalała gust i

wykwint pani Kon.

— Trzeba jednak przyznać — mówiła — że pani Kon ubiera się elegancko i szykownie, zwłaszcza od kilku dni, a uczesanie jej jest artystyczne.  
— Czy pan zwrócił uwagę, jaki ma przepiękny grzebień z blond żółwicy? — złośliwie zwróciła się do Grotowskiego.  
Stanisław, który nic o znalezieniu nie wiedział najspokojniej odpowiedział:  
— Przyznam się, że nie zauważyłem.  
— Niech go pan dobrze obejrzy. Prawdziwe arcydzieło.  
— Cóż ty Małgosiu, jakbyś zajzdroszczyła grzebienia czy co? — pytał rotmistrz, — zapytaj gdzie go kupiła, a ja z wielką przyjemnością zrobię ci prezent.

— Dziękuję wujaszкови, mógłby mię nabawić kłopotu.  
— Nie wiedzieć co, taż jakiego kłopotu?  
— Można zgubić.  
— Taż wszystko można zgubić. Coś kręcisz dobrodziejko...  
Ryta się roześmiała i nieznacznie pogroziła w stronę Grotowskiego.  
Po lunchu towarzystwo pojechało samochodem do Chillon na wycieczkę, a po powrocie koło -  
ej urządzono mały koncert. Stanisław grał z panią Kon na cztery ręce, był dla niej tak uprzejmy, że irytował Rytę, która podczas śpiewu konsulowej, szepnęła  
Jadwidze:  
— Służba po cichu opowiada, że pokojówka onegdaj znalazła grzebień Konowej w łóżku Grotowskiego.  
Jadwiga spiekła raka — onegdaj bowiem...  
Na zakończenie grała ze Stanisławem; musiał znów śpiewać niewolnika.  
Konowa była w siódmym niebie, ściskając rękę Grotowskiego, na pożegnanie ledwie dosłyszalnym szeptem powtarzała.

— Mój, mój, mój!

Zaraz po obiedzie Stanisław pojechał z rotmistrzem do klubu do Lozanny, co zdziwiło mocno Sangajłę i obie damy, ponieważ zdarzyło się to poraz pierwszy.

Wrócili przed drugą w nocy. Stanisław wziął klucz od portjera i jak najciszej wszedł do swego pokoju, przekręcił klucz i roze-

brał się. Zgasił żyrandol, a zapalił lampkę na nocnym stoliku, nagle usłyszał

szept:

— A ku-ku!

I zobaczył panią Kon pokazującą głowę z pod kołdry.

— A ku-ku! — powtórzyła.

Stanisław nie mógł zrozumieć, jakim sposobem dostała się do jego zamkniętego pokoju.

— Czyżby — myślał — była tyle nierozważną i lekkomyślną, żeby wziąć klucz od pokojówki?

— Chodź spać, już późno — szeptała.

— Boję się — żartował — nie mam na sobie stalowej misiurki..!

— Niegodziwy... ja tu już przeszło godzinę czekam niespokojna.

— Ale jak pani może się tak narażać...

— Stasiek! ja ci kazałam miwić mi: ty.

— Nigdy nie mówię damom ty, — nauczył mnie tego kolega ś. p.

Oleś Wichelis,

który powiedział: ja żebym miał nawet z damą czworo dzieci, nigdy nie mówię jej:

ty, żeby jej nie zasypać.

— Staśku! jakiś ty cudny, — zawołała, — objąwszy go oburącz...

Pani Kon dopiero koło -ej wróciła do swoich "zarzniętych" dzieci.

Nazajutrz rano o -ej Stanisław już jechał do Vevey skąd

zatelegrafował do swego

wspólnika do Warszawy:

„Wezwij mię terminową depeszą do domu”.

Wrócił i w bardzo wesołym usposobieniu oczekiwał przy stole ze śniadaniem na

towarzystwo Sangajlo żartował:

— Inżynier taki wesoły, zamiast smucić się

— A dla czego mam się smucić?

— Szczęśliwy w grze — nieszczęśliwy w miłości. Czy panie wiecie, wczoraj inżynier

wygrał w karty przeszło tysięcy... Pańskie adoratorki przestaną pana uwielbiać, ha?

Jakby na potwierdzenie tego podeszła Grażyna, mówiąc:

— Pani matka bardzo prosi pana Stanisława do salonu.

Błagalny wzrok Jadwigi sprawił, że Stanisław poszedł. Pani Kon zoczywszy

Stanisława, wstała i podbiegła na spotkanie.

— Robimy dziś z konsulostwem wycieczkę do les Avants, może pan pojedzie z nami?

— Dziś? — A gdyby tak jutro? Stanisław spodziewał się, że już nazajutrz nie

będzie w Ouchy.

— Dobrze, odkładamy na jutro, ale napewno?

Stanisław wrócił do towarzystwa, potym chodził po ogrodzie z

Jadwigą i układali

plan opuszczenia Ouchy i to w niedługim czasie. Pogoda była wyjątkowo piękna.

Zaproponował przejażdżkę po jeziorze, na co zgodziła się z chęcią wsiedli na

przystani do łodzi, wioślarz rozpiął żagiel i pomknęli ku Sabaudzkiej stronie.

Jagwiga, otulona ponsowym szalem wyglądała uroczo; trzymając się za ręce

spowiadali się ze swoich uczuć, trwało to przeszło dwie godziny. W powrotnej

drodze Stanisław powiedział:

— Proszę się nie przerazić, otrzymam dziś depeszę wzywającą mnie do Warszawy i wyjadę.

Jadwiga chwilę zastanowiła się i żartowała:

— Nie wymyśliłeś innego sposobu uwolnienia się od ataków pani Kon?

Stanisław roześmiał się i kilkakrotnie pocałował ją w rękę.

— A jak pani Ryta utrzymuje — dodała również śmiejąc się, — że ataki zostały

uwieńczone kapitulacją.

— Widzę, że pani Ryta jest bardzo zazdrosną. Za to zdanie otrzymał, klapsa,

podziękował

zań ucałowaniem obu rączek.

— Więc dziś wyjeżdżasz?

— O ile otrzymam depeszę.

— W takim razie ja wyjadę za kilka dni, dam ci znać i przyjedziesz do mnie na wieś.

— Zrobione! — odrzekł tonem maklera giełdowego, i znów ucałował rączki.

Przybyli do przystani, przeszli do hotelowego ogrodu i zaraz spotkali panią Kon.

— Panie Stanisławie, boy szuka pana, jest depesza... a właśnie nadchodzi.

Chłopiec zbliżył się i podał telegram. Stanisław przeczytał:

— Zaraz wyjeżdżam — powiedział.

— Co jest? — zapytała pani Kon. On podał jej telegram: "urgent".

Pani Kon strwożona przeczytała: Bronisław umarł, wracaj natychmiast.

— Jezus Marja! — zawołała — kto jest Bronisław?



— Brat mego współnika. Stanisław poszedł do Jadwigi, pożegnali się bardzo czule,

przy wyjściu zapytała:

— Kto to naprawdę jest Bronisław?

— To umówione słowo, Bronisław umarł, znaczy: wszystko dobrze i w porządku.

O -ej Stanisław wsiadł do sypialnego wagonu, odprowadzony przez całe swoje

towarzystwo, panią Kon z dziećmi i konsulostwo.

W kilka dni po przyjeździe do Warszawy otrzymał list:

„Szanowny kolego! Żona moja i dzieci są tak zachwyceni Tobą i tyle mi pisały o

Twojej nadzwyczajnej uprzejmości i dowodach życzliwości, że uważam za mój święty

obowiązek złożyć ci najserdeczniejsze podziękowania. Familja wróci dopiero za

jakieś dwa tygodnie, a ja za pierwszą bytnością w Warszawie nie omieszkam złożyć

Ci jeszcze osobiście podziękowania za tyle amabilicji Łączę wyrazy prawdziwego

szacunku i poważania i ściskam koleżeńską dłoń."

Szczerze oddany Hipolit Kon-Konecki.

Stanisław po przeczytaniu listu westchnął, szepcząc:

„To życie i jego przejawy i ewolucje".

Nazajutrz przyszły znowu dwa listy, oba z Ouchy, jeden pachnący w wikwintnej

bzowego koloru kopercie z jakimś dziwolągami mającym być monogramem — drugi w

kopercie hotelowej, ten otworzył pierwszy.

„Drogi mój Stanisławie!

Teraz gdy Cię nie widzę, przekonałam się jeszcze bardziej, jak cię kocham

bezgranicznie, tęsknota mnie gnębi, pocieszam się tylko myślą, że niedługo

będziemy razem na zawsze. Nie sama ja, ale i Zbyszko tęskni za Tobą,  
ciągle mówi  
o panu "Ogono" i pyta: czy się zobaczymy? Jutro wyjeżdżam przez  
Wiedeń, gdzie  
zabawię dwa, trzy dni, załatwić sprawunki, napisz zaraz: Hotel  
Sachera, to list  
mnie jeszcze zastanie. Koreysza poznał i przyłączył do naszego stołu  
jakiegoś  
Anglika sztywnego i ponurego, jak krzyż cmentarny, który jednak w  
swoisty sposób  
umizga się do Ryty. Oczekuję cię w Czarkowie za dziesięć dni, nie  
zapomnij  
telegrafować o konie. Pozdrawiam cię i całuję najserdeczniej mój  
najdroższy  
przyjacielu. Dowidzenia — wspominaj twoją Jadwigę!"  
Drugi list brzmiał:  
"Staśku! Życie moje, ty jasny Sokole! Dopiero dwa dni jak Cię niema,  
a czas ten  
wydaje się rokiem całym, tęsknota mnie pożera, odbiera humor, apetyt  
i sen...  
Czyś Ty mnie urzekł, czy zadał lubczyku? Słyszę w moich  
marzeniach twój śpiew  
czarowny i w codziennych snach halucy-

nacyjnych widzę Cię, Słonko moje!.. Zeszłej nocy na czele naszej  
husarji  
pędziłeś jasny, skrzydlaty, promienny, a hufce wroga pierzchały w  
nieładzie  
przed Tobą... Dziś, znów mieszkaliśmy w cichym modrzewiowym  
dworku, Ty  
wyjechałeś z rycerstwem na Turka, ja tonąc we łzach i trwodze prze-  
dłam kądziel  
w białogłowskim otoczeniu, a dziewczki prządki zawodziły smętne  
pieśni.  
Za dwa dni wyjeżdżam przez Berlin i wkrótce Cię ujrzę mój  
niezapomniany...

Baron owa zawzięcie flirtuje z tym Anglikiem w monoklu, co to siedział przy stole pod zegarem, obok tej śledziarki Rozenbergowej. Już jadają razem, prędko się po Tobie pocieszyła. Konsulowa okazała się nędną intrygantką, ta wstrętna ropucha rozpuszcza niecne plotki o mnie i o Tobie. Oddaję cię w opiekę Najświętszej Panience, niech cię chroni od wszelkiego złego. Całuję cię miliony razy... Do najmilszego widzenia mój, mój, mój. Twoja W....." Stanisław zmiął list i chciał go wrzucić do płonącego kominka, nagle wstrzymał się, rozprostował i wygładził, chowając do szufladki biurka — mówił do siebie: — Nie, lepiej schowam go i dam memu przyjacielowi Gamastonowi, może umieści go w jakiej nowelce! W jakie dziesięć dni potym młoda elegancka dama, w aksamitnym kostjumie, morderowego ko-

loru, oblamowanym szenszylą, dzwoniła do mieszkania Grotowskiego. Służący otworzył, a na zapytanie czy pan jest w domu — odpowiedział: — Pana dyrektora niema, wyjechał. — Wyjechał! dokąd? — zapytała dama. — Na wieś. — Na wieś? Teraz na takie zimno? Na jaką wieś wyjechał? — Do pani baronowej Pritwitzowej. Pani Kon pozieleniała, podała dużą kopertę, w której znajdowała się jej buduarowa fotografia i mówiąc: — Proszę to oddać panu inżynierowi — oddaliła się.

\* \* \*

Przeszedł miesiąc, w jednym z numerów "Kurjera Warszawskiego" czytano:

"Wczoraj w kościele P. P. Wizytek ks. biskup Russowicz pobłogosławił związek małżeński, pani Jadwigi z Czarkowskich I voto baronowej Pritwitzowej z inżynierem Stanisławem Grot-Grotowskim znanym przemysłowcem. W weselnym orszaku zauważyliśmy licznych przedstawicieli arystokracji, nauki i przemysłu. Państwo młodzi podejmowali przeszło osó w salonach hotelu Europejskiego i złożyli , marek dla biednych. Szczęść Boże sympatycznej parze." Na czwarty dzień po ślubie Stanisław otrzymał z Łodzi list treści następującej:

"Nędzny uwodzicielu! Opętałeś mnie jak siecią pajęczą Twemi miódopłynnemi słówkami i czarem pieśni! Sprowadziłeś z drogi cnoty i obowiązku, mnie młodą, niedoświadczoną, i... niestety nieogłędną! i porzuciłeś zrozpaczoną... Niech ci Bóg nie pamięta i nie karze za wyrządzoną mi krzywdę i łzy przelewane... W." Stanisław przeczytał i szepnął: „La forza del Destino!"...

KONIEC.

IV-bis.(Zakończenie drugie pióra B. Wodzińskiej.)

Zbyszek drugi dzień już gorączkował i Jadwiga nie wychodziła ze swych pokoi

czuwając nad nim. Wędką i siatki na ryby, oraz cukierki i ciastka, któremi obdarzył go Grotowski przyjechawszy rano z pamiętnej wyprawy do Genewy, jako skutek — wywołały: gorączkę i zaziębienie. Dnie były naprawdę już chłodne i parogodzinne łowienie ryb nad jeziorem, o czym nawet nie wiedziała Jadwiga, zajęta Stanisławem i swemi myślami — zaszkodziły dziecku. Grotowski lubił małego, troszczył się więc o jego zdrowie. Na pozór był takim jak zwykle, jednak poza krótkimi odwiedzinami Zbyszka, unikał towarzystwa, zbywał półsłówkami, nawet bardzo niegrzeczności, panią Kon i może tylko z Rytą i rotmistrzem czuł się dobrze. Ryta była wesoła, złośliwa, głośna, ale nadzwyczaj wrażliwa i subtelna; wyczuła, że coś się dzieje, przytym widząc, że Stanisław jej nie asystuje specjalnie, skapitulowała z flirtu i momentalnie — stała się niezrównanie miłą towarzyszką. Grotowski znajdował się w bardzo trudnym i niezrozumiałym dla samego siebie położeniu. Zdawało mu się dotąd, że uczucie dla Jadwigi, tworzy jakiś przełom i nowy okres w jego życiu,

zaczął idealizować je i poddał się tym wrażeniom zupełnie. W Genewie czuł się szczęśliwym, i naraz, później poczuł coś, jakby żal, jakby pustkę, teraz zaś rad był, że Jadwiga spędza dnie przy dziecku, gdyż wstydziliby

się sam siebie, okazać jej mniejszy zapał i sentyment, a czuł, że jednak nie było to jeszcze jego szczęściem, owym „la forza del destino”, w które — może nie zdając sobie sprawy nawet, wierzył. Wszystko to było niezdane, Jadwiga wprawdzie zaznaczyła, że nigdy za męża nie wyjdzie, więc pod tym względem nie czuł się zobowiązany, ale znowu zbyt lubił dziecko, a ku niej czuł wdzięczność — aby postąpić tak, jak to czynił bez skrupułów z panią Kon. W tym nastroju wszedł wieczorem do swego pokoju i siadłszy przy biurku zabrał się do korespondencji dotyczącej interesów wzywających go do Warszawy coraz spieszniej.

\* \* \*

„Widzę, że masz zamiar na cały wieczór zająć się polityką, czy tak? Bolo już leżący i zatopiony w gazecie, ledwie że spojrzał na żonę i z marszem pełnym wyteżonej uwagi, rzuciwszy zarazem błagalne i groźne: — Phoszę mi nie przeszkadzać! Zapatrzył się znowu w pisma. Zapatrzył się tylko, gdyż faktycznie nie czytał, a przynajmniej mało zdawał sobie sprawy z tego. Myśli jego pra-

cowwały w kierunku polityki, ale. . polityki małżeńskiej! Oto już piąty wieczór nadszedł od przyjazdu do Ouchy i biedny Bolo pławiąc się w ekstazie uczuć swych dla żony, czuł się dzisiaj bardzo... nieszczęśliwym. Ryta była naturą gwałtowną, namiętą, gorącą, i jeśli chodziłoby o sprawdzenie teorii

futurystycznej, ile dana jednostka zawiera w sobie kobietonu (a podobno wedle tej teorii, kobieta liczy się na kilkaset kilo danego ciała), to stanowczo w tym stadle, Bolo musiałby być zredukowany do roli niewieściej. Chcąc ratować swój mężki honor — uciekał się do gazet i rzucał się na nie tak zajadle i z taką chciwością, a studjował tak starannie, że dopiero równy oddech uśpionej żony i jego zmęczonym oczom, dawał odpoczynek. Ryta w chwilach rozdrażnienia bywała szalona i nieobliczalna w pomysłach, a dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, drażnił ją ten miękki i delikatny Bolo, który właściwie nigdy nie umiał zrozumieć jej nastrojów i nigdy, choćby nawet brutalnie, nie dał jej odczuć swej mężkiej siły i przewagi. Rycie potrzeba było mężczyzny silnego i jako charakter i jako wola, może nie zdając sobie nawet sprawy, tęskniła za despotycznym kierunkiem, ale tęskniła także za silną, prawdziwie mężką pieśczołą. Chwilę patrzyła na jasną, złotowłosą głowę

męża, na białą szyję wychylającą się delikatnie z wyłożonego kołnierza jedwabnej koszuli i złość ją porwała na niego, na tę szyję, na gazety, na jego "delikatność", na wszystko, i zawróciwszy się—szybko wyszła z pokoju. Chciała iść do Jadwigi, porozmawiać, posiedzieć, jednym słowem byle nie być u siebie, gdy wtem przyszła jej fantazja — i lekko trzykrotnie zastukała do drzwi Grotowskiego.

Stanisław kończył korespondencję i miał zamiar zbierać się do snu.  
Od trzech dni  
zamykał drzwi swego pokoju na klucz, chroniąc się od szturmującej,  
wobec tego  
napróżno, pani Kon. Udawał śpiącego, który o niczem niewie, co  
narazie  
niezadawałało, ale mniejwięcej pocieszało, romantycznie nastrojoną  
Wiesławę-  
Marję. Teraz — ponieważ to nie była jeszcze godzina zwykłego  
alarmu,  
zainteresowany podszedł do drzwi— i otworzył. Zdziwienie jego nie  
miało granic,  
gdy ujrzał przed sobą Rytę — i to wcale nie zaam-barasowaną, ani  
wzruszoną, ani  
tajemniczą, ale zwykłą, dowcipnie uśmiechniętą, z szelmowskimi  
oczyma,  
łobuzersko-swobodną.  
Jakoś lżej, ale ślicznie ubrana, daleka była od omdlewająco-  
ziewających negliżów  
Konowej. W pierwszym momencie, jeśli tak można powiedzieć,  
chwycił się w myśli  
za głowę; stanowczo "urodzaj" letni w Ouchy, zaczynał być  
zatrważająco bogaty,  
ale po chwili odzyskał równowagę i ta wizyta nocna eleganckiej  
kobiety, która  
zasiadała

sobie najswobodniej i z najbardziej pańską miną w fotelu, zaczynała  
mu się  
podoobać. Stał przed nią i chwilę milczeli, może — a nawet  
napewno nie wiedząc,  
jak zacząć rozmowę i o czym. Ryta pierwsza uśmiechnęła się i rzekła:  
— Drogi panie! Nudzi mi się... Proszę przede wszystkim wydobyć z  
pod ziemi  
choćby — czarną kawę, mam wrażenie, że nieprędko stąd wyjdę,  
będziemy



rozmawiali!

Momentalnie Grotowski zaalarmował służącego i wydał rozkazy. Znowu stanął przed Rytą i patrzył. Zdziwiło go, że pełen wyższości i swobody w stosunku do niej zwykle, stracił naraz tu — wobec tak sprzyjających warunków cały kontenans.

— Czy pan tak długo może stać?

— Proszę pani, ja zapomniałem, że stoję, bo... właściwie, dlaczego pani tu przyszła?

— Ça passę tout! Pyszny pan jest! Pan myśli, że mnie zniechęci tem powitaniem?

Zupełnie nie, ja mam chęć tu siedzieć i rozmawiać, słyszy pan? ja! jeśli pan nie ma ochoty — to narazie nie będzie pan mówił, ale mam nadzieję, że potrochu przestanie pana zadziwiać tak naturalna rzecz na świecie, jak noc, prawda? No, bo przecież właściwie pana głównie dziwi, że to jest noc! Ja pana chyba nie wprowadzam w stan osłupienia, bo mię pan zna!

— Pani jest naprawdę bardzo miła, wie pani? Właśnie dlatego jest pani taka miła, że to

jest noc, a pani jest zupełnie taka sama, jakby to był dzień.

— No, i szczęśliwie zaczęliśmy rozmowę. A więc dlaczego inną miałabym być w nocy?

— Dlaczego, pani Ryto? nie wiem, ale niech pani wierzy, że każda przeważnie kobieta inna jest w nocy, niż w dzień, "czasami jest to bardzo przyjemne, a czasami...

— Peszy, czy tak?

— No... więc tak. Ale już jest kawa, doprawdy, jak przyjemnie zapowiada się nasza noc. Zaraz, zaraz, proszę nie wstawać, tę lampę postawimy tutaj, o tak, za pani głową, stoliczek tutaj, a mój fotel...

— Nie, nie nie, tak —dobrze! Mamy przecież całą noc, na przemeblowywanie wystarczy czasu.

— Pani, jak zawsze złośliwa, a gdyby zostawić to na dzisiejszą noc?

— Jeśli pan chce!

— Ja — Proszę.

— Lubię pana! no trudno, ale lubię. Nie! nietrzeba całować ręki bez treści.

Bądźmy en bon camarade!

— Bądźmy! Dlaczego pani tu przyszła?

— Dokończyć zaczętej rozmowy, czy sporu, czego nie mogłam się doczekać z własnej pana chęci.

— Pani Ryto, ta żartobliwa rozmowa, czy

spór—psułaby mi nastrój, będziemy mówić o czym innym dzisiaj.

— Pan lubi poetyczne nastroje?

— Specjalnie nie — uważam, że nastrój, w który wpadam teraz, nie jest poetyczny nawet, ale różny trochę od innych — zwykłych, a więc spróbujemy go określić.

Przedewszystkiem estetyczny. Pani, na tle światła przyćmionego, opalizującego

barwą abażuru, wygląda bezwzględnie pięknie. To, że pani przyszła o tej porze i

to tak wesoło, swobodnie, bez ubocznych myśli, jest bezwzględnie nadzwyczaj

miłe, no... a cisza absolutna i właśnie ta noc, nastraja też na ton mniej banalny.

— Dowcipny inżynier, wróg mamotatyizmu, oczerniacz gołębi, poskromiciel niewiast,

w roli?

— Tylko czciciela harmonji.

— Harmonja powstać może jedynie z połączenia i powiązania kilku różnych tonów.

— Czekam i słucham...

— A tylko odczuwać nie potrafiłby pan?

— Aż zanadto!

— Pijmy tymczasem kawę i myśleć będziemy. Proszę szukać tonów, ja zdaje się

swoje już odnajduję.

Stanisław wpadł w coraz dziwniejszy stan, przestali rozmawiać, siedzieli

naprzeciwko siebie przedzieleni maleńkim stoliczkiem zastawionym przyborami do

czarnej kawy.

Bezwzględnie Ryta zaczęła mu imponować.

Zupełnie inne wyobrażenie miał o niej; nie przypuszczał, że w tej szykownej,

zdawałoby się powierzchownej istocie, jest tak wiele odrębności i indywidualności.

Niewiadomo ile czasu milczeli, w każdym razie dość długo, bo od czasu do czasu,

zadzwęczał tylko stawiany kieliszek, lub filiżanka. W tem Grotowski usłyszał

blizki, wiele bliższy niż przedtem szept:

— Proszę nie otwierać oczu...

Mimowoli zacisnął mocniej powieki i drgnął.

Uczuł na ustach w samym kąciku, delikatne muśnięcie i na chwilę miły, chłodny,

policzek przytulił się do jego twarzy.

Czuł że Ryta stoi tuż blisko, wyciągnął ku niej rękę, gdy w tem...

zawadził o

filiżankę, która z brzękiem upadła na dywan i... w tej chwili usłyszał znany

szmer pod drzwiami zwiastujący panią Kon. Wydał się sam sobie, tak śmiesznym w roli zdobywanej codziennej fortecy; że zaledwie wstrzymał bardzo nieładne, ale bardzo silne przekleństwo cisnące się na usta. Tymczasem Ryta, choć dyskretnie — ale roześmiała się z całej sytuacji i przerażenia Stanisława. Nie przyszła jej na myśl Konowa, tymbardziej Jadwiga, ale przez chwilę miała wrażenie, że może Bolo ją szuka, choć zaraz zorjentowała się, że byłby to czyn zbyt bohaterski dla niego i ta myśl momentalnie ją rozbawiła. Szmer przy drzwiach, jakby od tego śmiechu

zmarł, przepadł poprostu i po chwili była znowu — cisza zupełna. Ryta wyciągnęła rękę do Grotowskiego na pożegnanie.  
— Jakto? Już pani odchodzi? Pani Ryto... a cała noc?  
— Nie panie, harmonja nasza się nie udała, z zewnątrz wpadł głos trzeci — oby, zmaćił pieśń!  
— Pani Ryto.  
— Nie panie, sztuczną—potrafię być w dzień, w nocy i ja jestem inną. Już mnie tu nic nie nęci, nie podoba się, nastrój zerwany. Żegnam, a może... do widzenia!  
Śmiało otworzyła drzwi i poszła do swych apartamentów, gdzie z uśchmiechem politowania, ale i smutku, spojrzała na pięknego Bola zarzuconego gazetami i śpiącego spokojnie.

\* \* \*

Na drugi dzień rano pani Kon ukazała się przy śniadaniu w czarnych szatach i rozdzierającą bladością na twarzy; pominąwszy tragizm nocy, kiedy to zastukawszy do drzwi Grotowskiego usłyszała śmiech kobiecy, przechodząc przez chwilę koło tych drzwi zobaczyła, że się otwierają, więc uzbroiwszy się w najczarowniejszy uśmiech me-lancholji, stanęła oko w oko z prześliczną blondynką, która wesoło śmiejąc się wychodziła ze Stanisławem. Biedna pani Kon zapomniała nawet oddać ukłonu inżynierowi i pobiegła, jak kula do

służby hotelowej. Tu ostatnia kropla goryczy przepełniła czarę, gdy z przerażeniem dowiedziała się, że młoda dama która przyjechała do pana inżyniera Grotowskiego — to jego żona. Faktycznie była to Iza Grotowska, która bawiąc w Genewie wraz ze swoim towarzystwem wpadła rano na śniadanie do Ouchy, zobaczyć swego dawnego męża, do którego nie odczuwała najlżejszej urazy, a przeciwnie — sympatję przyjacielską i zaufanie. Tym razem jednak przyjechała nietylko aby się z nim widzieć, ale też aby oznajmić mu, o swych zaręczynach z młodym Komarem. Grotowski bardzo rad był nowinie gdyż i on Izę lubił, a nawet szanował, wogóle małżeństwo ich niszcząc miłość, en revange pozostawiło rzecz o wiele cenniejszą — bo przyjaźń. To też chcąc wywdzięczyc się żonie równym zaufaniem i szczerością, zwierzył się ze swych sentymentów ku Pritwitzowej, przyczyni zastrzegł, że jednak dzisiejsza noc

zgotowała mu niespodziankę, która

— trochę, troszeczkę popsuła mu jak zdawało się, śmiało wytkniętą linję uczucia.

— Mon ami — powiedziała pani Grotowska

— wierz, że mam intuicję przedziwnie trafną nietylko co do mężczyzn, otóż jeśli

pozwolisz być szczerą, pani Pritwitzowa, pomimo że jest piękna i może miła, nie

budzi we mnie specjalnej sympatji, ma w sobie coś, jakby nieskończonego, jakby

brak tej ostatniej, maleńkiej linijki nadającej charakter portretowi. Nie znam

tych pań, ale druga,

mniej klasyczna, jest wiele więcej ciekawa i napewno inna niż się wydaje.

— Może masz rację, — rzekł w zamyśleniu Stanisław, otwierając przed nią drzwi.

Pani Iza spojrzała na niego i wesoło roześmiała się z melancholijnie zamyślanej

twarzy towarzysza, co było u niego objawem rzadkim, w stosunku do roztrząsania

spraw uczucia.

W tej to właśnie chwili pani Kon przechodziła przez korytarz i doznała

niezwykłego wstrząśnienia.

Przy śniadaniu Grotowski był w dziwnym nastroju, uczucie któremu się poddał tak

łatwo z całą pasją człowieka potrzebującego w życiu jednak coś więcej, niż tylko

przelotne awanturki i zdarzenia, zaciężyło mu więcej jeszcze, jakby po dzisiejszej nocy uchylono przed nim nieznaną zasłonę, poza którą dostrzegał

pierwszy raz wrażenia inne, niż proste nasycenie pragnień i łatwe ich spełnienie.

Zbyszek był prawie zdrow i Jadwiga siedziała już przy stole na zwykłym swym miejscu. Łagodny jej uśmiech i pogodne spojrzenie irytowało Grotowskiego, aczkolwiek dotąd właśnie tym się zachwycał. Ryta rozmawiała ze zwykłą żywością, specjalnie uprzejmie z panią Izą, do której poczuła momentalną sympatię. Bolo systematycznie i powoli wypijał czekoladę, przyczem z dziewczęcą skromnością spu-

szczał oczy. Sangajło zaś zabierał głos bez końca pełen zachwytów nad panią

Iza..

Za trzy dni wyjeżdżamy — przemówiła Ryta — czy pani jeszcze długo tu zostanie?

— Zależć będzie od zdrowia Zbyszka, mam, jednak nadzieję, że jutro już będzie

mógł wyjść do ogrodu, dzisiaj już wstał z łóżeczka.

— Ja państwa opuszczam za dwadzieścia minut, miło będę wspominała, choć tak

krótką znajomość, mam nadzieję, że może w karnawale spotkamy się wszyscy w

Warszawie — mówiła pani Iza uprzejmie.

W tej chwili Jadwidze podano depeszę, otworzyła i spojrzawszy bardzo się

zmieszała. Stanisław patrzył na nią badawczo, zdziwiło go, że i teraz, jak za

pierwszym razem, depesza budziła w niej niepokój i postanowił dowiedzieć się

przyczyny.

Towarzystwo rozeszło się. Jadwiga zaraz poszła do Zbyszka, panią Izę odwiózł do

Genewy Sangajło.

Grotowski wyszedł do ogrodu, w którym o tej porze mało było osób i spacerując, zapalał jednego papierosa za drugim. Myślał o swym przypadkowym pobycie w Ouchy, który zamiast kończyć się wesoło, zaczynał wywoływać w nim refleksje poważne i wrażenia zupełnie odmienne od dotychczasowych. Wszystko było jasne i proste, aż do dzisiejszej nocy. Podobała mu się kobieta, postanowił

ją zdobyć, warunki składały się cudownie, gdyż była wolna i nie dążyła do małżeństwa.

Grotowski przyjął tę nową swą miłość z radością, spokojem, humorem i nawet czułością. Sprawę od początku postawił jasno i gdyby Jadwiga kazała mu wtedy wyjechać, czuł, że choć z żalem rzuciłby to—co mogło zaplątać swobodną linię życia.

Tymczasem — dzisiejsza noc, w której nic się przecież nie stało, pozostawiła mu taki głód odczucia jeszcze raz podobnych wrażeń, że nie kochając Ryty, a nawet lekko z niej drwiąc chwilami, rozumiał, że właśnie od niej nie odjechałby teraz i że jest w niej wiele, wiele rzeczy niezwykłych, ciekawych i miłych. W tej chwili nienawidził siebie za zapalną naturę, lęcącą odrazu bezmyślnie i bezkrytycznie w pajęczą sieć kobiecych przynęt, odczuł najwyższą irytację i złość, przeciwko miłości, tak, tej mdlej miłości gotowej odrazu otwierać ramiona.



Odczuł złość do wszystkich kobiet, które zda się, wyczekują na najłżejszą zachętę, aby zaraz odpowiedzieć i okazać całe skarby swego niewieściego serca.

Odczuł złość i przeciwko gwałtownej namiętności Konowej i przeciwko wzniosłym zapewnieniom Jadwigi. Może to było rezultatem przesytu, ale właśnie Ryta, wydała mu się jedyna ze swym spokojem, humorem, równowagą i ocenił czym może być kobieta, jeśli niema senty-

mentalnych skłonności i umie patrzeć jasno, wesoło na życie.

W tej chwili dostrzegł zdaleka sylwetki Koreyszów i spostrzegł, że idą na zwykłą

partję tenisa. Nie widział ich grających, gdyż dotąd mało interesował się Rytą,

dzisiaj jednak chciał na nią patrzeć i odszukać w niej choćby cień myśli i

wrażeń wczorajszych. Ale nie dostrzegł nic.

Ryta w angielskim białym kostjumie, czarnym rozwianym krawacie, zasuniętej na

oczy czapeczce i z rakieta przerzuconą przez ramię, wyglądała zachowato. Jak

zwykle uśmiechnięta i trochę wyzywająca zwróciła się do Grotowskiego:

— Dokąd pan zmierza?

— Do celu!

— Który znajduje się?

— Na placu tenisowym!

— Tak blisko?

— Tak daleko...

— Będzie pan grał? może z nami?

— Nie, będę zajmował się moim fachem!

— Nie rozumiem!

— Jestem inżynierem, odpoczywam już zadługo, dziś zacznę budować.

— Pan żartuje, co pan będzie budował na placu tenisowym?

— Szczęście!

Pani Ryta rozsypała perlistą grę śmiechu, pobiegła do siatki i zawoławszy "rady"

w stronę męża, z odchylną rakieta i przyczajona czekała na piłkę. Stanisław patrzył — była inna, przejęta grą, ale odczuł, że przede wszystkim

przejęta była ruchem, wprost upajała się rzutami piłki, każdym przechyleniem

ciała, i rzeczywiście czyniła wrażenie piękna, każdy giest był harmonijny,

giętki, sprężysty.

Bolo grał dobrze, ale wszystko u niego było jakieś biedne i pozbawione treści.

Po skończonej partji Koreysza poszedł się przebrać, a Ryta została aby odpocąć

w ogrodzie. Grotowski patrzył na nią przez chwilę:

— Pani jest cudowna!

— Ah mon Dieux! Jaka szkoda, że tak późno pan to spostrzegł, za trzy dni, jak

już wspominałam, wyjeżdżamy.

— Czy, trzy dni to jest dosyć, czy też zakrótko?

— Pan się bawi w zagadki! Na co dosyć czy zakrótko?

— Na powiedzenie przez panią — dowidzenia...

— Pan się tem interesuje?

— Aż zanadto!

A więc proszę zaprzestać. Wrażen swych i uczuć nie lubię przerzucać, jak piłki w

tenisie z partnerem. Pozostawiam ten świat dla siebie samej wyłącznie. Jeśli

znalazłby się ktoś, co mógłby zrozumieć i pojąć bez słów!

Mówiąc to, mimowoli wzniosła ku górze obie ręce ruchem zmęczenia i tęsknoty.

— Pani nie jest szczęśliwa?

Posiedziała przez chwilę, potem wstała, włożyła rękietę pod ramię, ręce w

kieszenie żakiecika i pogwizdując jakąś łobuzerską melodję, nie spojrzawszy

nawet na niego, najspokojniej odeszła. A on pozostał oszołomiony zupełnie, gubił

się teraz w chaosie wrażeń. Byłby siedział może długo, ale naraz pomyślał, że

musi ostatecznie rozmówić się z Jadwigą i w jakikolwiek sposób wypłatać z tego

uczucia. Poszedł wprost do swego pokoju i tu, trochę się wstydząc zwykłego w

tych wypadkach u mężczyzny tchórzostwa, postanowił napisać list, aby uniknąć

rozmowy.

Napisał krótko, w miarę czuło, w miarę grzecznie i poważnie, prosząc ją o rękę.

Zbyt, jak pisał, szanował ją—a dziecko lubił, aby pozostawić stosunek swobodny,

bez zobowiązań i skryty. Zwłokę swoją z tym krokiem tłumaczył chorobą Zbyszka,

podczas której nie chciał narzucać się jej swoją osobą. Posławszy list przez

chłopca, oczekiwał z niepokojem na rezultat.

Tego dnia Jadwiga nie zeszła już do ogólnej sali jadalnej, co nie zwróciło uwagi

niczyjej wobec tego, że i Zbyszek jeszcze nie wychodził. Grotowski czuł się

tylko zdenerwowany do najwyższego stopnia i pani Kon złą wybrała chwilę, gdy

zbliżywszy się do niego po obiedzie szepnęła:

— Panie Stanisławie, dlaczego pan ode mnie ucieka? Czy pan nie czuje mojej  
boleści? Pan jest żonaty, pan nic nie powiedział mi o tem! pan już nie pamięta  
burzy!

— Proszę pani, ja wogóle burz nie lubię, a w szczególności tej ostatniej, która  
wyrządziła krzywdę mojemu przyjacielowi Izydorowi, racz więc pani wyrazić mu  
moje ubolewanie z tego powodu. Wyrzucam sobie słabość moją i życzę pani  
zapomnieć o tej burzy o co i ja się postaram.

Mówiąc to odszedł prędko, a biedna pani Wiesława zrozumiała, że tęsknoty jej i  
pragnienia muszą pozostać nieukozone, pożegnała więc w myślach „pana Stanisława”  
i postanowiła znowu wrócić do poprzedniej formy „pana inżyniera”.

\* \* \*

„Drogi Panie!

Nie będę pana nudziła długo, ponieważ odczułam ze słów listu doskonale, że  
miłość pana była tylko złudzeniem, wobec tego, nie wacham się krótko i jasno  
wyznać panu prawdę.

Depesza pierwsza z życzeniami i druga — przynaglająca do powrotu — były od  
narzeczonego. Tak! Wychodzę za mąż za człowieka, który jeszcze za życia męża  
mego, w najcięższych chwilach okazywał wiele dobroci, zarówno mnie jak i  
dziecku.

Dlaczego wyrwało mi się zaprzeczenie tego

faktu i poddanie się urokowi, jakie wywarło na mnie poznanie pana —  
niewiem.

Może to naprawdę było „la forza del destino”.

Szczęście, że nasze, zdawało się poważne i głębokie uczucie, okazało się tylko —

złudzeniem.

A jednak złudzenia mają czasami siłę i czar prawdy. Niechcę pana widzieć,

proszę oto! Niech pan jutro rano wyjedzie na cały dzień, kiedy pan wróci — mnie

tu już nie będzie.

Proszę jednak zachować wspomnienia o złudzeniu, które przez chwilę miało cały

urok prawdy.

J. P.”

Stanisław od dłuższej chwili siedział nad tym listem odczuwając radość głęboką,

że oto znowu jest swobodny i że jego gwiazda szczęścia nie opuszcza go nadal.

Pomimo że czuł coś w rodzaju żalu i pretensji do Pritwitzowej że wywiodła go w

pole, jednak musiał być wdzięczny losowi, który w tak łatwy sposób wypłатуje go

z fałszywego położenia. Postanowił jednak odtąd strzedz się więcej kobiet o

anielskim spojrzeniu i słodkim uśmiechu, bo jednak gdyby uczucie to było

prawdziwe i silne, strach brał go na samą myśl, co teraz by przecierpiał i

przeżył. Tymczasem postanowił zastosować się do woli Jadwigi i przy obiedzie

oznajmił, że na cały jutrzejszy dzień musi wyjechać.

Mówiąc to patrzył na Rytę i tak usilnie oczyma prosił ją o coś, że roześmiała

się i rzekła:

— Czy nie zajmował się pan nigdy hypnotyz-

mem? Ma pan zupełnie wystarczającą siłę wzroku, nawet na poskramiacza węzów.

Niestety, ja jestem tylko małą zmijką i potrafię się wyślizgnąć choćby tak

nakazującym oczom.

— Pani Ryto, czy pani zawsze tylko chce żartować?

— Cóż jest w życiu milszego? Mam wrażenie, że chyba i pan nie jest zwolennikiem

tragedji?

— Moja żona bardzo lubi żądać, ale trudno odgadnąć, co

naphawdę myśli—rzekł

smętnie Bolo.

Sangajło spojrział z czułością na Rytę i krzyknął!

— At Małgosia! moja dusza, dziej się co chce, a uszy zawsze do góry.

Nacóż

ludziom wiedzieć co siedzi w sercu i w myśli, dla ludzi śmiech! Ot jak i ja, nie

zawsze tańcowawszy szło się przez życie, ale ludzie śmiech widzieli, wara im od

serca!

Ryta przy słowach tych lekko pobladła, schyliła czoło, jakiś cień

przeszedł po

twarzy, ale wnet wstrząsnęła dumnie ku górze swą misterną główką i wstając

roześmiała się:

— Stanowczo jesteśmy już zadługo w Ouchy, nawet wujaszek wpada w ton poważny.

Wujaszku, uszy do góry.

Podając rękę Grotowskiemu na dobranoc mówiła:

— Bardzo lubię czarną kawę, ale nigdzie takiej dobrej niema, jak w Warszawie.

Nie znalazł słów odpowiedzi i tak się rozeszli.

\* \* \*

Zdziwienie, złość, irytacja Grotowskiego nie miały granic, gdy na drugi dzień,

oprócz Jadwigi ze Zbyszkiem nie zastał również w Ouchy Koreyszów.  
Uspokoił się  
nieco gdy powiedziano mu, że Sangajło jeszcze jest. Pomimo późnej  
godziny posłał  
z zapytaniem, czy zechce go przyjąć, rotmistrz dał odpowiedź  
zapraszającą i po  
chwili Stanisław był u niego.

— Inżynierze kochany, też z kobietami nigdy nic niewiadome,  
Koreyszowie  
pojechali dzisiaj po obiedzie razem z Pritwitzową. Mieliliśmy jechać  
jutro  
dopiero, a tu Małgosia uparłszy się i dalejpakować rzeczy, chciała  
pomódz  
baronowej w opiece nad Zbyszkiem, który jeszcze słaby. Baronowa  
jechać musiała,  
bo podobno depesza wzywała ją w ważnych sprawach do Krakowa.  
Poleciała cię  
inżynierze ona, jako też Koreyszowi pożegnać i wyrazić  
podziękowania za miłe  
towarzystwo. Niewiem co zamierza baronowa, ale, Koreyszowie na  
karnawał przyjadą  
do Warszawy.

— Czy pani Ryta nie zostawiła dla mnie jakiego polecenia? — zapytał  
Stanisław  
słuchając w milczeniu sprawozdania Sangajły.

— Polecenia? Nie inżynierze kochany, choć prawda! ot  
zapomniałabym, mówiła  
Małgosia, żebyś miał dobrą czarną kawę w domu, bo ona lubi panie  
dobrodzieju, i  
może przyjdzie wypić filiżaneczkę, u znajomego z Ouchy,  
przyjechawszy do  
Warszawy.

Stanisław chwilę jeszcze porozmawiał z rotmistrzem o swym  
wyjeździe, ważnych

interesach które go czekają, i już miał wyjść, gdy rotmistrz wstrzymał go ruchem ręki:

— Słuchaj mię inżynierze i bez urazy chciej przyjąć słowa; widziałem dobrze co wyrabiał Konowa i jej "panie Stanisławie" po nocnej burzy — mnie staremu wystarczyło. Widział ja twoje zabiegi koło Baronowej, co mnie do niej? Miła, ale miękka niewiasta, sama i wolna niech się bawi. Ale z Małgosią ostrożnie! Krewna ona moja przez męża, tylko ale bliższa mi sercu, niż on, pożał się Boże. Ot Małgosia kobieta! Nie dla niej taki Bolo, nie dla niej, zapłakawszy by oczy druga, a ona nic! ściska zęby i uszy do góry! Stanisław stanął zdziwiony bardzo zwrotem Sangajły, nie przeczuwał w nim tyle zmysłu spostrzegawczego i tyle sentymentu ku Rycie. Podszedł żywo ku niemu i ściskając rękę powiedział poważnie:  
— Panie rotmistrzu, nie mam oczu tak bystrych, jak pan, jednak i ja dojrzałem, choć może za późno, panią Rytę — prawdziwą. Pożegnali się serdcznie i na drugi dzień rozjechali.

\* \* \*

W Warszawie Grotowski wpadł w wir swoich zwykłych zajęć, spraw, interesów i stosunków towarzyskich. Jednak po tegorocznym lecie nie przywiózł odpowiedniego zapasu humoru i werwy,

przeciwnie, czuł często nudę, przesyt i zniechęcenie. Chwilami śmiał się sam z



siebie, że taka maleńka króciutka scenka bez znaczenia, którą przeżył z Rytą pamiętnej nocy, aż tak utkwiała w pamięci. A jednak pamiętał każdy jej ruch, słowo i uśmiech. Nie chciało mu się dzisiaj nigdzie iść, choć zaproszeń kilka leżało na biurku. Usiadł i zaczął myśleć, gdy w tem energiczny dzwonek zmącił ciszę.

Zerwał się i sam szedł ku drzwiom. Chociaż nie zdając sobie sprawy, czekał ciągle na Rytę, a jednak zdawało mu się że śni, kiedy ją zobaczył uśmiechniętą i żywą.

— Nie powiem, żeby powitanie pana było zachęcające, zupełnie taksamo, jak parę miesięcy temu. Zdziwienie i cisza!

— Tak pani Ryto i pierwsze i drugie, ale tym razem i trzecie!

— To jest?

— Radość!

— A więc doskonale, już zdejmuję futro, kapelusz, rękawiczki, rzucam mufkę, robię panu pełno zamętu, nieporządku, wołam o czarną kawę i... siadam!

Mówiąc to wszystko żywo, wesoło, rozrzucała istotnie na wszystkie strony swe

rzeczy i w końcu utonęła prawie w wielkim fotelu przed biurkiem, wyciągnęła

skrzyżowane nogi przed siebie, podparła dłonią czoło i na chwilę zachmurzyła

się,

— Może ja panu przeszkadzam? Może pan

wychodzi, lub spodziewa się kogo? Nie? A więc cudownie!

Grotowski tymczasem stał ciągle i patrzył na nią. Tak, to była ta sama Ryta, i

poczuł nagle że ją tak lubi, jak nigdy nikogo. Nie kocha, nie! Określić nawet

nie umiałby tego, ale ją lubi i zaczął jej to mówić nieprawnie, bez dobranych

słów, bez ładu. Ryta promieniała.

— Czy pan wie, że ja byłam zła na pana, a nawet było mi trochę, niedużo—smuno,

że pan wcale niechciał patrzeć na mnie w Ouchy, ja odrazu przeczulałam, że

moglibyśmy być doskonałymi przyjaciółmi. Potym... przyszła mi fantazja przyjść

do pana; chciałam z kimś rozmawiać! No, i ostatecznie pomyślałam, że ponieważ jako

kobieta dla pana nie istnieje, więc to co czynię jest jasne jak słońce i niema

cienia w tym złego. Nie był pan specjalnie rozmowny, to prawda, ale umiał pan

przyjemnie słuchać i milczeć, to jest bardzo trudna rzecz i rzadko się spotyka.

— Pani Ryto, czy pozwoli pani zacząć mi dzisiaj tym samym pytaniem, co wtedy.—

Poco Pani tu przyszła?

— Lubię pana, czuję że z panem wiele, wiele mogłabym chwil spędzić i na

rozmowie, i na milczeniu. Czasami ogarnia mię taka tęsknota za wymianą myśli, za

ciszą z kimś—kto umiałby odczuć i zrozumieć.

— Pani nie jest szczęśliwa?

— Nie rzucajmy wielkich słów napróżno!

— Dlaczego napróżno?

— Bo szczęścia się nie wyrozumuje, a o rzeczywistości—przyjemnie i dobrze

czasami zapomnieć, to daje na dłuższy czas równowagę ducha i siły!

— Pani jest inna niż wszystkie kobiety...

— Nie, nie, nie, zupełnie taka sama, tylko — kobieta! nic więcej.  
Może wydają  
się panu tak różna, bo szukał pan zwykle typów innych. Zapewniam  
pana, że kobiet  
takich, jak ja, jest dużo trzeba tylko umieć patrzeć i widzieć!  
— Czy pani wie, że dotąd o żadnej kobiecie nie myślałem tak wiele,  
jak o pani?  
Nudzą mnie teraz wszystkie i nudzi mnie myśl o miłości, a jednak  
niczego nie  
pragnąłbym tak, jak miłości, ale nie umiem określić jakiej, w każdym  
razie nie  
takiej — jaką dotąd spotykałem. Przy pani jest mi dobrze, i kiedy, tak  
jak  
teraz, widzę panią przed sobą, nic mnie nie ciągnie innego.  
W tej chwili Ryta zerwała się i podbiegła do maszynki z kawą, która  
pod  
błękitno-liljowym płomykiem ognia zaczynała się sączyć brunatną  
pianką.  
— Panie, panie, na pomoc! O już, płomień zgaszony. Siadajmy tu —  
przy tym  
stoliczku. Proszę mi dać tę małą, śliczną filiżankę, lubię pić kawę z  
filiżanek  
o dziwacznych kształtach; wydaje mi się wtedy, że pijąc — uchylam  
rąbek jakiejś  
tajemnicy, gdy powoli bieleje dno. Teraz nie

pan mi odpowie na jedno pytanie tylko. Czy kochał pan panią  
Pritwitzową?  
— Tak, przez pewien czas miałem to złudzenie i traktowałem je  
poważnie; w  
ostatnich dniach, ta pewność się zachwiała, a po bytności pani u mnie,  
przepadła  
zupełnie. Chcę, żeby pani wiedziała, iż napisałem do niej list prosząc  
o rękę  
dostałem odpowiedź odmowną, jako powód — istnienie narzeczonego  
oraz

zrozumienie, że uczucie było tylko — złudzeniem.

Ryta wyciągnęła rękę do Grotowskiego i uścisnęła ją mocno, serdecznie.

— Dziękuję panu, proszę nie myśleć, że pytałam przez ciekawość, o nie! Chciałam

sprawdzić, czy poprostu potrafi pan być przyjacielem, czy też tylko mężczyzną.

Próba wypadła na korzyść, nie będziemy poruszali więcej spraw osobistych!

— Pani Ryto, proszę wybaczyć, lecz ja też chciałby jedno jedyne zadać pytanie.

— Proszę!

— Czy pani kocha swego męża?

Ryta popatrzała uważnie na Grotowskiego, spojrziała mu prosto w oczy i rzekła:

— Nie! nie kocham go, ale żal mi jego uczucia i nie zrobiłabym mu nigdy nic, co

mogłoby być dla niego krzywdą.

Milczała chwilę.

— Niech pan co zagra... mam chęć posłuchać teraz muzyki, o nie, niech pan się nie tłumaczy,

nie chcę rzeczy wielkich i wzniosłych, proszę o jakie ciche, skromne melodje.

Stanisław zaczął grać już bez słowa protestu, jego miłe, delikatne, prawie nie

męskie uderzenie, harmonizowało z nastrojem ciszy, spokoju i półmroku. Pierwszy

raz w życiu będąc z młodą, ładną kobietą sam, z kobietą, —która okazywała mu

wyraźną sympatię i postępowała śmiało wbrew formom i zwyczajom, nie przyszło mu

na myśl zdobywać ją, lub dążyć do jakiegokolwiek zbliżenia. Było w niej coś

nieokreślonego, co jednak nakazywało szacunek wbrew wszystkim pozorom. I nagle Grotowskiemu przyszło na myśl, że są dwa typy kobiece: Kobiety ciche, skromne, układne, zapięte na wszelkie guziczki cnoty i etykiety w salonie—w towarzystwie, z którymi jednak mężczyzna czuje się pewien siebie i śmiały, gdy przypadkiem zostanie sam na sam, i Kobiety — głośne, wesołe, wyzywające nawet, przy których traci się pewność siebie, gdy się jest we dwoje. Skończył grać już od dłuższej chwili, ale nie przerywał ciszy żadnym słowem, patrząc na Rytę, która z twarzą ukrytą w dłoniach, oparta o poręcz kanapy — milczała. Wreszcie wstała, zbliżyła się do niego, oparła mu na ramiona ręce i patrząc głęboko w oczy — szepnęła: — Kiedykolwiek znowu przyjdę do pana na godzinę ciszy i wytchnienia. Pocałował ją ze czcią niemal w rękę, po-

mógł się ubrać i długo stał przy drzwiach otwartych, którymi wyszła. Był u Koreyszów z wizytą, ale nie zastał ich w domu, zostawił bilet, a tymczasem coraz więcej myślał o Rycie. Mimowoli nadśluchiwał wieczorami, czy nie odezwie się głos dzwonka, denerwował się, mało wychodził z domu i wreszcie po kilku dniach napisał do niej taki list: „Nie wiem dlaczego i właściwie po co piszę do pani? Nie wiem, czy potrafię odtworzyć stan mych myśli i czy jest w tym jakakolwiek racja. Sądzę, że więcej odczuwam, niż potrafię napisać. Analizować uczucie, ująć

je w formę konkretnych zdań, utrwalić na papierze jest zbyt trudno i nieda się w całości tego uczynić, pewna ich część, może najgłębszych i najistotniejszych, pozostanie niewysłowiona. Zapewniać panią o swym uczuciu nie mam zamiaru, jest to zbyt banalne i właściwie jak mam określić to—co rozbudziła pani we mnie,—sam nie wiem. Nie jest to chwilowe, nie przyszło gwałtownie, ale powoli przepoiło mi całą duszę i oparte jest na marzeniach najskrytszych, pochowanych głęboko. Ten stosunek, który panuje między nami, aczkolwiek jest dla mnie szczęściem, jednakże zdaje się coraz cięższym.

Momenty, tak, — momenty spędzone z panią, rozbudziły wszystkie moje nerwy, zmysły i duszę, a jednak rozumiem, że panować muszę nad niemi. Chcę być względem pani szczery i uczciwy. Pani Ryto, co mam robić? S. G." Przeszło jednak znowu kilka dni, a odpowiedzi nie było, i dopiero zupełnie niespodzianie spotkał Koreyszów na jednym z balów. Bolo, piękny, jak zwykle, Ryta—rozbawiona, otoczona, śmiejąca i śliczna. Kiedy podszedł do niej, by się przywitać, uśmiechnęła się z radością: — Witam pana, proszę mi podać ramię, pójdziemy napić się czegoś zimnego, i porozmawiać, tylko uprzedzam, że jestem dzisiaj bardzo złośliwie usposobiona i gotowa do dyskusji... choćby o gołębiach.

— Pani tak łatwo poddaje się nastrojom?  
— Nadzwyczaj!  
— To szkoda.  
— Dlaczego?  
— Bo w takim razie łatwo każdemu uzyskać wpływ nad panią!  
— Tak pan sądzi?  
— Tak myślę!  
— I myli się pan najzupełniej. Przedewszystkiem w nastrój wprowadzam się ja sama, i raczej otoczenie stosować się do tego musi, jeżeli chcę  
— będę się śmiała nawet przez łyzy!

— Czy pani list mój otrzymała?  
— A czy pan o to koniecznie dziś musiał zapytać?  
— Pani Ryto!  
— Panie inżynierze?  
— Niech pani porzuci ten ton żartów, przecież jest noc!  
— Tak, ale balowa, nie przywykłam z balu — robić pogrzebu!  
— Dlaczego zaraz pogrzebu?  
— Wytlumaczę to panu innym razem.  
— Ja proszę teraz, nie, nie proszę — ja żądam!  
Ryta spojrzała zdziwiona, pionowa zmarszczka na czole, zacięte usta i błyski w oczach wskazywały, że Grotowski nie żartuje. Poczowała się zmieszana i niepewna pierwszy raz w życiu.  
Spojrzała na niego prawie z pokorą i szepnęła:  
— A jeśli ja bardzo poproszę, żeby... nieteraz?  
— Ustąpię, ale pod warunkiem — że jutro przyjdzie pani i wytłumaczy mi wiele, wiele rzeczy.  
— Dobrze, przyjdę.  
W tej chwili zbliżył się do nich Koreysza.  
— Panie inżynierze, czy żona nie mówiła panu o nadzwyczajnym seansie

spihytystycznym, któhy wczohaj urządzilem? Hezultaty wspaniale,  
niezwykle medjum  
przywiozłem ze wsi. Poznałem już wszystkie wahszawskie powagi,  
pojutrze

urządzamy seans dhugi, może i pan zechce wziąć udział?  
Grotowski patrzył na błędne oczy Bola, jego zachwycony wyraz  
twarzy i pomyślał,  
że ten człowiek jest naprawdę upośledzony umysłowo. Narazie miał  
chęć  
podziękować za zaproszenie, ale po chwili namysłu zgodził się  
przyjść i gdy Bolo  
w dalszym ciągu entuzjazmował się nad różnymi objawami oraz  
znakami z zaświata,  
myślał, co przeżywać musiała Ryta, przy tej pięknej laleczce.

\* \* \*

Grotowski był silnie zdenerwowany, nie mógł doczekać się wieczoru,  
choć zarazem  
bał się go. Czuł, że Ryta powie mu wiele rzeczy ważnych i co  
najgorsze, miał  
jakby pewność, że to nie będą rzeczy dobre dla niego. To,—od czego  
uciekał cale  
życie, i czemu zawsze się bronił, przyszło do niego samo, — cierpiał.  
Gdyby w Medjolanie, w drodze do Ouchy, i jeszcze w Ouchy,  
powiedział mu kto, że  
będzie tak uporczywie myślał o Rycie, uważałby to za drwiny i  
odpowiedział, że  
młodzieńczy wiek zapałów i ideałów jest już pozanim. Zresztą, wszak  
od początku  
traktował ją lekko j od pierwszej chwili prawie, zajął się Jadwigą. A  
teraz?  
Jak dziwnie mu zbladły nawet wspomnienia z Genewy!  
Po dniu, który zdawał się wiekiem, nareszcie



doczekał się Ryty. Przywitali się w milczeniu, ona próbowała zacząć od

weselszego tonu, ale nie bardzo udawał się dzisiaj i śmiech i żarty.

Grotowski usiadł naprzeciw niej, i odrazu zaczął mówić poważnie:

— Pani Ryto co znaczyło powiedzenie: "nie-zwykłam z balu robić pogrzebu"?

— Tak, pogrzebem nazwałam moją odpowiedź — na list pana.

Stanisław wstał i oparłszy się dłońmi o stolik, pochylił ku niej głowę, jak by

chciał wchłonąć to co mówiła.

— List już spalony, ale słowa pozostały w sercu. Szczęśliwa jestem, że znalazłam

człowieka, który mię pojął, zrozumiał i pokochał. Tak, bo pan mnie kocha, proszę

nie potwierdzać — ani przeczyć; na to, by coś wiedzieć — słów niepotrzeba!

— Dlaczego więc pani Ryto? Dlaczego?

— Co "dlaczego"? Dlaczego rozmowa nasza ma być pogrzebem uczuć, czy tak?

Potwierdził ruchem głowy.

— Mąż mój, może pan zauważył, gdy opowiadał poznanie ze mną na statku?

Zaznaczał, że pewna wróżka przepowiedziała mu, by strzegł się kobiety spotkanej

w niespodziany sposób.

Bolo, przepowiednię tę wiąże z moją osobą, ale myli się, odemnie nic złego nie

dozna.

Miesiąc temu przyprowadzono do nas do dworu dziewczynę ze wsi o której mówili,

że opę-

tał ja. szatan. Bolo, który zawsze interesował się spirytyzmem — zajął się nią.

Wpadała istotnie w stan dziwnego osłupienia, wymawiała niezrozumiałe wyrazy, wpatrywała się w przestrzeń po kilka godzin bezmyślnym wzrokiem. Od dwóch tygodni jest z nami w Warszawie, Bolo wpadł w szal zdenerwowania, urządza seanse i ciągle zadaje duchom pytanie, jakie go czeka nieszczęście? Ja widzę, że spotkane medjum jest jego nieszczęściem, postaram się jednak wyrwać go z tego otoczenia i wpływów; pisałam w tej sprawie już do wuja Sangajły, który w tych dniach tu przyjedzie. Grotowski słuchał w milczeniu nie przerywając, wreszcie wziął Rytę za obie ręce, podniósł je do ust i po chwili powiedział jakby ze zdziwieniem:  
— Dobrze pani Ryto, ja panią rozumiem, pani chce ratować człowieka, ale dla czego jego—nie mnie? Dlaczego wybiera pani jego? Wszak powiedziała pani, że go nie kocha?  
— Tak, ale powiedziałam również, że nie skrzywdzę go nigdy i... on jest słabszy od pana.  
Wstała, podeszła blisko do Grotowskiego i szepnęła bezradnie:  
— Już idę... — nie odchodziła jednak, pochyliła się nad nim coraz bardziej i wreszcie otoczywszy mu szyję ramionami, z oczyma pełnymi łez, pocałowała go z całej mocy.  
Grotowski nic już nie mówił, czuł że z Rytą

nie może być takim jak bywał z innymi, czuł, że żadne słowa tu nie pomogą, i nie zmienią jej postanowienia.

W ciszy więc zegnał ją i jeszcze raz tylko ująwszy jej głowę w dłonie,  
całował w  
oczy. \*\*\*

\* \* \*

Dwa miesiące upłynęły jak chwila i jak wieczność. Grotowski rzucił się w wir pracy, czynił to z zawziętością, jakby chcąc ogłuszyć wszystkie inne myśli, nie zupełnie to się jednak udawało. Czasami zmęczenie brało górę i spał, ale bywały chwile gdy naprzykład niespodzianie kto zadzwonił, że zaczynało bić mu serce na samą myśl, że może wejdzie Ryta. Czasami siadał do fortepianu i grał to, co kiedyś słuchała, a nadewszystko polubił dziwną filiżaneczkę z której piła kawę. Seans spirytystyczny u Bola, pozostawił mu wrażenie nadzwyczaj przykre, Koreysza rozgorączkowany, przejęty, wyglądał na człowieka prawie chorego. Ona nie brała udziału w zebraniu zajęta rotmistrzem, który właśnie tego wieczora przyjechał. Grotowski przypominał sobie chwilę, gdy udało mu się wymknąć i przywitać Sangajłę. Ze zdumieniem obserwował tę dziwną kobietę, znowu była to wesoła, ożywiona Ryta, pełna zaczepnych słówek i dowcipnych zwrotów, tylko że teraz Stanisław znając ją, wzruszał się bardziej tą siłą jej charakteru, niż najbardziej smętną i zboląłą twarzą u innych.

Wkrótce wyjechali Koreyszowie z rotmistrzem i Grotowski czekał i niecierpliwił

się zupełnym brakiem wiadomości o nich.

Pewnego dnia idąc ulicą usłyszał wołanie za sobą i odwróciwszy się szybko,  
zobaczył Sangajłę, który, jak zwykle oparty na lasce, przywoływał go ruchem swobodnej ręki.

— Witaj inżynierze, a toż ja właśnie szedłem do ciebie, dużo muszę ci powiedzieć, a na ulicy trudno, gwałt tu u was i krzyk, że człowiek i myśli zgubić może.

Stanisław ogromnie ucieszony prowadził rotmistrza do siebie, paliły mu się słowa tysiąca pytań o Rytę, ale czekał cierpliwie czując, że Sangajło sam o tym mówić z nim będzie.

Jakoteż, gdy przyszli i wygodnie zasiedli w fotelach, rotmistrz zaczął opowiadać

smutną historję Bola. Koreysza wpadł w silny stan zdenerwowania, graniczący z

obłądem na punkcie rozmów z zaświatem; gdy powrócili na wieś, uważał, że wuj i

żona specjalnie chcieli mu dokuczyć namawiając gwałtownie do wyjazdu z Warszawy.

Zawsze cichy i łagodny, wpadał w paroksyzmy gniewu wybuchowego, które

wyczerpywały go fizycznie; Ryta nie traciła wobec niego pogody i równowagi

ducha, ale on, Sangajło widział, że mizernieje i kiedy myśli, że nikt nie

dostrzega— nawet płacze.

Przedwczoraj przyjechali wszyscy do Warszawy i doktorzy zażądali, aby Bola

stanowczo

zostawić pod stałą opieką lekarską w odpowiednim zakładzie dla nerwowo chorych.

— Ot i widzisz inżynierze, jako się plecie na tym Bożym świecie. Ale  
ja  
zmarnować Ryty nie dam, powiedział ja sobie: ot stary, przekołata się  
sam i  
ciężko było, pilnuj by młodzi żyli w szczęściu. Ryta szczęścia warta,  
Bolo  
człowiek nie dla niej, dzieci nie mają, moja w tym głowa by była  
wolna, a  
dlaczego ci to mówię? bo mam oczy dobre i widzę panie dobrodzieju,  
że i Ryta i  
ty inżynierze, jakby dla siebie stworzeni!  
Stanisław milcząc uścisnął Sangaję, po chwili obaj wyszli i rozstali  
się przy  
hotelu. Grotowski szedł do swojej pracy, rotmistrz wracał do domu.  
Tego wieczoru Stanisław odwiedził Ryte, rozmowy o Koreyszy  
unikano.  
Któregoś dnia poszedł wieczorem znowu do nich, Sangajły nie było,  
grał w  
ulubionego bridża.  
Stanisław siadł przy Rycie i biorąc jej ręce mówił:  
— Dlaczego pani nigdy teraz nie przychodzi do mnie?  
— Boże, co za timbre głosu i spojrzenie!  
— Niech pani nie żartuje, dlaczego tyle czasu nic o pani nie  
wiedziałem?  
Chwilami nienawidziłem panią, myślałem, że wszystko to były żarty i  
zabawa, chęć  
wrażeń!  
— Zawsze lubi pan tracić słowa napróżno, dobrze pan wie, że tak nie  
było, poco  
więc mówić?  
— Mówię, bo kocham panią, pani Ryto, ko-

cham jak nigdy nikogo; dużo się we mnie zmieniło, sam nie wiem  
kiedy i jak, ale  
bez pani — nie widzę życia i szczęścia.

— Nie tak tragicznie szanowny panie, jeśli kocha pan mnie, więc raczej cieszyć się trzeba, niż wzdychać, no proszę zaraz uśmiechnąć się! nie? ale koniecznie, o tak, jeszcze więcej, już dobrze!

— Kiedy pani jest taka miła, naprawdę, teraz zdaje mi się, że smucić i trapić

się niema potrzeby, bo jestem z panią, zato gdy sam zostaję, to zaraz wszystko

mnie męczy, nudzi, drażni i jest mi źle, zdecydowanie źle!

— O panie, pana życie zepsuło trochę, widać dawało bez zwłoki zabawki, których

się żądało; ja jestem bardziej zahartowana, i umiem się cieszyć, jeśli dostrzedz

mogę, choćby za szybą tęczowe pałace, na które patrzeć nikt nie wzbrania.

— I pani to wystarcza?

— A jeśli musi?

— Nigdy nie wyobrażałem sobie poznawszy panią, aby mogła pani znosić nad sobą czyjś przymus!

— Ja też nie znoszę go nigdy!

— Nie rozumiem!

— Bardzo łatwo to pojąć, czyjej woli—można protestować, można walczyć i złamać przemoc, ale gdy człowiek sam na siebie nakłada jakieś

pęta i sam zakreśla granice swobody, wtedy jest to —ten mus niezwalczony.

— Pani jest silna!...

— Tak mi się zdawało!

— Dlaczego mówi pani w czasie przeszłym?

— Bo czuję, że słabnę, trochę zawiele wrażeń bolesnych przeleciało nademną w ostatnich czasach, ale może te inne, radosne ugięły mnie więcej jeszcze. Dlatego

nie przychodzę do pana, w nieszczęściach potrafię znaleźć męską siłę,  
widzę, że  
w uczuciu jestem—tylko—kobietą.  
— Pani Ryto...  
— Nic, nic, niech pan nic nie mówi i ...niech pan już idzie.  
Wstała, Grotowski wstał również, chwilę patrzył na nią i wreszcie z  
całej siły  
przyciągnął ku sobie i całował oczy, włosy i usta. W pocałunkach tych  
było takie  
połączenie namiętności, prawdziwego uczucia czułości, że Ryta,  
chwilę zapomniała  
o świecie całym odczuwając tylko szczęście.  
Spojrzała rozjaśnionymi, pełnymi wesela oczyma na niego, i  
przyłożywszy palec do  
ust na znak milczenia, by nie zmącić czaru chwili ani  
jednym słowem, zegnała go—uśmiechem.

\* \* \*

Na drugi dzień, wracając do domu koło jedenastej wieczorem,  
Grotowski zdziwił  
się, dostrzegłszy w oknach gabinetu światło, nie przypuszczał, aby  
służący o tej  
porze sprzątał w po-

kojach, a nie spodziewał się też zastać nikogo; przemknęła mu się  
myśl coprawda,  
że może Ryta czeka, ale natychmiast odrzucił ją jako niemożliwą.  
Pośpiesznie  
wchodził na schody i otwierał drzwi.  
A jednak to była Ryta.  
Słyszając jego kroki, wybiegła na spotkanie prędko, szepcząc:  
— Jak dobrze, że pan już przyszedł, czekam coprawda niedługo, ale  
nie wiem, co  
się ze mną dzieje. Panie, mąż mój umarł, nic nie wiem, dano nam znać  
z lecznicy

po dziewiątej, że jest źle, pojechaliśmy zaraz, w kilka chwil był koniec. Wuj  
został tam jeszcze, mnie kazał przyjść tutaj. Nie chcę być sama!  
Grotowski prędko zrzucił okrycie, prowadził Rytę do pokoju, siadł przy niej i  
trzymając za ręce, milczał, przyciskając tylko od czasu do czasu dłoń jej do  
ust.

Ryta pod wpływem cichej pieśczozy, spokoju i ciszy, poczuła, że zrywają się w  
niej jakieś struny, które mocno trzymała związane; łzy zaczęły jej płynąć duże,  
kropliste, potem coraz drobniejsze i częstrze, aż, oparłszy głowę na złożonych  
rękach, rozplakała się prawie dziecinnym szlochem.  
Grotowski wstał i zaczął chodzić ostrożnie, wolno po pokoju, szykując przybory  
do czarnej kawy. Nie chciał jej pocieszać i nie chciał nawet być przy niej w tej  
chwili, na tyle znał już jej usposobienie, że wiedział dobrze, co sprawić mo-

że jej ulgę, a więc nie mowa i pieśczoza, ale świadomość i wrażenie, że ktoś  
obok odczuwa z nią razem i faktami napozór bez znaczenia okazuje swą myśl i  
serce.

Po chwili Ryta zaczęła się uspokajać i patrząc na Stanisława, z wdzięcznością  
mówiła:  
— Nie myślał pan pewnie nigdy, że wesola znajoma z Medjolanu, energiczna i  
kłótniwa towarzyszką z podróży do Ouchy i ekscentryczną siostrzenicą rotmistrza,  
potrafi płakać jak zwyczajna beksa. I tyle panu wnoszę zamętu w wygodne,



spokojne życie...

— Pani Ryto, proszę zapamiętać, że ja od pani nauczyłem się dużo...  
ale

przedewszystkiem nie marnować słów na próżno. Proszę się napić  
wody, tak, a teraz

kawy, w tej samej filiżance, no—dobrze?

— Jak tu pana nie lubić, dziękuję, właściwie nie wiem, czego  
płakałam, pewnie

dlatego, że jestem kobietą. Nie kochałam Bola, żał mi go, gdyby żył,  
starałabym

się ze wszystkich sił być w dalszym ciągu dla niego dobrą, ale czasem  
to było

naprawdę, tak trudno!

Czuję w sobie teraz chaos myśli, jeszcze nie mogę zdać sobie sprawy.

Stanisław patrząc na nią teraz, przypomniał sobie dawno, dawno

czytaną bajkę,

dziwnie jej prosta treść wydała mu się zbliżoną do marzeń Ryty i tych  
tęczowych

pałaców, o których mu kiedyś mówiła.

— Pani Ryto, opowiem pani bajkę, proszę usiąść wygodnie, tak, a  
teraz niech pani

oczy przymknie, odpoczywa i słucha:

Z mgieł rannych rosy, tęczy i zórz,

Stał pałac zbudowany,

Z powoi białych, czerwonych róż

Splatały się altany.

A ogród był jak wiosna sama

Pachnący, świeży, młody,

I z mirtu rosła cudna brama,

A z mchów puszystych schody!

I każdy pragnął ujrzeć raz,

Choćby jedyny tylko,

Ten wonnych kwiatów barwny las,

Upoić się choć chwilką!

Ale naprózno kwitły tam  
Czerwone róże i powoje,  
By ujrzeć czar — nie sam  
Musiało przyjść ich dwoje!  
I strumień prózno szemrał wciąż,  
I prózno mchy porosły,  
Nie szła niewiasta, ani mąż  
Miłość nie słała posły!  
I stałby pałac opuszczony,  
Poeta o nim by śnił  
A potem, snami rozmarzony,  
W piersiach tęsknotę swą krył!  
Lecz szczęście samo nudzi się,  
Czeka na posłów miłości,  
Z rozpaczy ręce cudne gnie  
I tęskni — do miłości!  
W tem poruszyło kwiatów kiść  
I zaszemrały słowa,  
Cichutko szepcze każdy liść,  
Zrodziła się myśl nowa.  
I pałac wyrósł w jedną noc  
Nad gór najwyższych szczyty,  
W nadziemski czar, w nadziemską moc  
I w kwiaty swe spowity.  
Ujrzeli wszyscy jasny cud  
I szczęścia twarz radosną  
I lecieć pragnął cały lud  
Upoić się tą wiosną.

Strwożone szczęście pyta róż,  
I pyta wód przezrocza,  
Jako zasłonić pałac z zórz  
By znikł, jak mgła urocza!  
Więc strumień sperlił wody swe,  
Skłębił się pełen szalu,  
A w chwilę potym stały dwie

Wysokie ściany z kryształu!  
I próżno ludzie widzą już  
Szczęście i pałac i kwiaty,  
Nie zerwie ściany ręka ni nóż  
Zamknięte czarów światy!  
I tylko czasem kryształ ten  
Do wód swych dawnych bieży,  
Gdy szczęście poprzez szafę sen  
W prawdziwą miłość wierzy!

— Pani Ryto, czy nie ten pałac tęczowy widywała pani sama jedna  
przez szyby

tylko, ciesząc się że nikt patrzeć nie wzbrania?

Ryta zasłoniła oczy rękoma i siedziała bez ruchu.

— Pani Ryto. Ja...

— Niech pan nic nie mówi. W tej chwili, byłoby mi ciężko myśleć  
tylko o sobie,

muszę być dłuższy czas sama zupełnie. Za kilka dni wyjadę, nie wiem  
jeszcze

dokąd. Gdy poczuję się znowu sobą, jak za lat, gdy miałam wolne  
dłonie i

pragnienia kruszyć szklane zasłony szczęścia — powrócę.

— Grotowski całował jej ręce a w tej chwili dzwonek oznajmił  
przybycie Sangajły.

List B. Wodzińskiej do Gamastona.

Nie mam nic wspólnego z literaturą, nie wiem więc szanowny i  
kochany Pułkowniku,

czy wybór skierowany w moją stronę był trafny!

Umiem trochę myśleć, jak na kobietę to podobno dużo, pisać jest  
trudniej, ale

bawić można się zawsze; czując sympatję ku Rycie spróbowałam  
więc na jej korzyść

zakończyć sezonową znajomość. Moja kobieca duszyczka zatęskniła  
przytem do

sentymentów nie dokumentowanych w tak gwałtownej formie.  
Typ Jadwigi, podchodzącej do każdego zbliżającego się uczucia z  
przedziwną  
świeżością wrażeń, jak też jej słodycz i dobroć kobieca, która po  
walkach  
kilkudniowych tak łatwo kapituluje, nie bardzo przemawia mi do  
serca.  
Troszeczkę jestem obrażona na Grotowskiego za sposób traktowania  
kobiet, no i za  
brak etyki w tym kierunku, a może tylko wyrafinowania, chciałam  
rozbudzić w nim  
wrażliwość w ze stawieniu z innym typem kobiecym.  
A pani Ryta?  
Nie wydała mi się pomimo leciutkiego podkreślania urody i  
swobodnych form złą,  
przeciwnie — kobiety szczerze i bez pozy lubię, dlatego żal mi było  
zostawiać ją  
już na całe życie z pięknym manekinkiem Bolem!  
A teraz drogi Pułkowniku, kiedy ciekawość została zaspokojona,  
pozostaje  
konsekwencja: — dałeś mi pióro do ręki...  
B. W.